Cena 8 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 29 września 1946 r. | Nr 38 (66)

Teodor Goździkiewicz

Ilustrował Stanisław Cieloch

Ziemia pracy i krasy

Dzień pogodny zażegnięty nad Wrocławiem ożywia place, ulice i domy. Ocalałe resztki ludzkich pomieszczeń rozbrzmiewają mową i pulsują ruchem. Otwierają się drzwi, okna, ruszają samochody, jadą wózki i rowery. Słychać język polski — słowa zwierzeń, planów, rozkazów i najzwyklejszych plotek. Tramwaje brzęczą na zwolnieniach.

Na szyldach i na szybach sklepowych napisy. Nazwiska z całej Polski. Bez obawy o chybienie w liczbie można stwierdzić, że z pomiędzy sklepów dominują bezapelacyjnie owocarnie, w których pokazują się pierwsze jabłka „papierówki" obok malowniczych pęczków czerwonej karotki i zielonych rurek młodego szczypiorku. W każdym widnieje karnie cena — kg...

Na szerszych ulicach i trójkątnych załamaniach chodników, gdzie kawałek miejsca na to pozwolił usadowiły się kramy. Takie kramy, jakie po innych miejscach Polski spotkamy na odpuście, na targu lub w dzień targowy. Można sądzić, że jest to nasza cecha handlu przeniesiona na ten teren i dawniej Wrocławowi obca, bo nie pasująca do wysokich jego kamienic.

W miejscach niektórych krwawy ząb zniszczeń ominął niejedne partie miasta. Wygląda więc ku podróżnikowi wesoły komplet domów prezentujących się jasnymi, prostymi frontami. One są żywym świadectwem dawnego wyglądu miasta, jego nastroju i zamożności. Te ocalałe resztki to jakby prezent dawności ofiarowany dniu dzisiejszemu na wzór, do jakiego musi miasto dociągnąć.

Wysoko na błękitnej płachcie nieba rozpościerają się gęste palce kominów fabrycznych. Nieomylny znak uprzemysłowienia miasta. Z ich okopconych wierzchów wysnuwają się porwane wiechcie dymów. Fabryki są w ruchu. Kieruje nimi polski fachowiec-inżynier i pracuje polski robotnik obok niemca jeszcze (niestety!).

Między całą masą zakładów przemysłowych znajdujących się we Wrocławiu — jedną z największych i najwcześniej uruchomionych jest wytwórnia wagonów kolejowych i tramwajowych. Zakład tętni pracą. Tu się wytwarza nowe wozy i poddaje remontowi już zużyte, ażeby przez chirurgiczny zabieg technika odmłodzić zużyty, spracowany grat.



Odra przecina miasto w sposób jakby posłuszny i niepozorny. Ujęta w kluby ocembrowanych brzegów przepływa przez cały obszar miasta spokojna, zegarkowa — chciałoby się powiedzieć, nieledwie, i dość brudna. Po cichych portach o naoliwionej powierzchni wody stoją statki, przywiozły jakś ładunek i czekają opróżnienia. Szerokie, gęste mosty, spięte łukowatymi prągłami łączą oba brzegi miasta w sposób naturalny, łatwy i prosty. Prawie każda ulica przechodzi w most, przerzuca się na drugą stronę rzeki i dalej idzie w tej samej linii prostej.

*

Droga Oleśnica — Wrocław — Świdnica leży na niewiarygodnej równinie. Jest to płaska, prawie monotonna kraina wypełniona uprawnymi polami, między którymi siedzą rzadkie kępy odrzewionych dworów, kępy olch, wierzb, lip, dębów, jesionów i jaworów. One jedne wytryskają zieloną, bladą w odcieniu barwą, wyniesioną cokolwiek wyżej.

Jakże charakterystyczny to krajobraz: równe pola szarozłote od rozległego łanu pszenic, rozpostarte szeroko i daleko. W pewnym miejscu fala zieleni litej, wzburzonej. Między nią jaskrawo czerwone dachówki domów — wieś i dwór, obok wieża kościoła i... komin fabryczny. Jest to zakład nie duży ale nowoczesny, i będzie to wytwórnia sztucznego nawozu, kleju albo przędzalnia lnu, albo fabryka mebli drzewnych.

Pola są równe, gładkie, potoczyste. Jest w nich coś stepowego. Gleba tu o dużej kulturze, urodzajna, bogata. Szumią pszenice, kołtunią się owsy, wichrzą lucerny. Zaś gdzie ręka ludzka jeszcze nie położyła swojej regulującej władzy, a pole oddane zostało naturalnemu biegowi rzeczy, pleni się dziki, gęsty oset — znak najlepszy bogactwa glebowego tych stron, bo ten szkodnik trzyma się tylko miejsc żyznych i zasobnych.

Ktokolwiek z przybyszów dał się powodować nawykom mazowieckiej tradycji, mającej w specjalnej pieczy ziemniaki i owies i posiał czy posadził te miłe plony, ten doznał rozczarowania. Ziemia nawykła do wydawania tylko buraków i pszenicy, koniczyny i lucerny po otrzymaniu tych skromnych lokatorów wybujała je w górę, dała im wiotkie łodygi pędzone nadmiarem azotu: owies poległ, ziemniaki wyrosły w łęciny.

Żniwa we Wrocławszczyźnie rozpoczęły się później niż gdzie indziej. Ogromne przestrzenie obsianej ziemi mają jeszcze niedostateczną obsadę ludzką. Pomrukujące traktory, ciągnące za sobą wiatraki żniwiarek wymagają jednak setki rąk ludzkich, na które tu czeka praca, moc pracy; [illegible] spora liczba maszyn, wyręczających człowieka w jego trudzie przy ziemi i nad rolą — nie może całkowicie obejść się bez żywej siły ludzkiej.

Więc kiedy się patrzy po tych żyznych przestrzeniach ornej ziemi, kiedy się ucieka do historii, gdzie podane są fakty niemieckiego parcia na wschód i osadzania tu na tych obszarach żywiołu teutońskiego od czasów Bolesławów — staje się ta sprawa całkowicie zrozumiała. Te okolice najwcześniej zostały zniemczone: stanowiły one najbogatszy kraj, mający bogactwa swoje jawne, dostępne ówczesnemu sposobowi ich eksploatowania. Śląsk Górny ze swoimi kopalinami odkryty został później, później tu zaczęto prowadzić politykę eksterminacji i stąd żywioł polski dochował się tu dłużej — aż do naszych czasów.

*

Miasto o pięknej, słowiańskiej, piastowskiej nazwie — Świdnica — leży w czubie jasnej zieleni ogrodów i parków na przedprożu sudeckiego podgórza. Zachowane jest prawie całkowicie. Okrutne prawo wojny było dla niego łaskawe i stąd ruin prawie nie ma. Czystymi, brukowanymi kostką bazaltową ulicami przechodzi ludność mieszana. Białe opaski na ramieniu znamionują niemców. Są tu jeszcze prawie wszyscy — z wyjątkiem tych, co sami odpłynęli z cofającą się na zachód falą niemieckiej armii lub później uciekli czy w obawie czegoś, czy w nadziei czegoś. Chodzą starsi obojga płci lub dzieci i kobiety.

Pierwsze wysiedlanie dotknęło świdnickich niemców przy końcu lipca. Obserwowałem to zjawisko. Ulicami w stronę punktu zbornego szły gromady niemców z wózkami, na których starannie upakowany i przyszнurowany był dozwolony bagaż (200 kg) Jechali sobie długimi rzędami uśmiechnięci czy udający uśmiech. I tak samo: starsi lub kobiety z dziećmi. Młodych mężczyzn czy młodzieży prawie nie ujrzał.



Pilnowała marszu policja. Rzadko, daleko jeden od drugiego stąpał godnie przedstawiciel porządku publicznego, więcej dla asysty niż dla istotnej potrzeby. Niemcy wychodzili karnie. Ciągnęli swoje wózki z pewnym wysiłkiem, jakby na nich więcej było niż dozwolono. Nie brakło i charakterystycznych obrazków. Oto dwom niemkom pękły drewniane kółka prowizoryczne u wózka spreparowanego z kosza do bielizny. Stanęły bezradne. Ciężaru nie uniosą, jechać dalej nie można. Długi wąż jadących je ominął, każdy myśli o sobie.

Stoi również zatroskany milicjant. Ale szczęśliwa okoliczność przychodzi z pomocą. Oto jakiś chłopiec odwiózł bagaż swój czy obcy na punkt i wraca do miasta. Milicjant zawraca go i każe podwieźć zepsuty wózek. W trójkę — dwie kobiety i chłopiec — męczą się nad bagażem, który uparcie nie chce się unieść z ziemi pod ich ramionami. Wtedy milicjant zrzuca urzędową maskę z twarzy, karabin z pleców i swoimi urzędowymi rękami pomaga decydująco w akcji.

Patrzę na to zdarzenie, przypominam sobie fakty z niedalekiej przeszłości i nie wiem, czy my jesteśmy narodem mazgajów czy ludzi szlachetnych... W każdym bądź razie fakt bardzo wymowny.

Kościół świdnicki góruje nad miastem brzydką, pretensjonalną wieżycą. Jest w niej charakerystyczne świadectwo bogackich, napuszonych wysiłków, sadzących się na wzniosłość, a wytwarzających bombastyczne, śmieszne stwory. W stosunku do nich nasze również niesmaczne świątynie w stylu pseudo gotyku (cegła) są jeszcze wzorami piękna i umiaru. To samo można powiedzieć o każdym kościele niemieckim tu na tym terenie.

*

Tuż prawie za Świdnicą nad rzeczką ruchliwą i wodną — Bystrzycą — leżą dwie wioski o tej samej nazwie co i rzeczka: Bystrzyca Dolna i Bystrzyca Górna. Przypadkowo natrafiam na jakieś stare akta notarialne, w których raz po razu spotyka się wyraźnie nazwa Polnische Beisstritz — Bystrzyca Polska. Rzecz oczywista, że ostatnio wioska ta nazywała się zupełnie inaczej. Zatarto nie tylko wyraz Polnische, ale nawet Beisstritz — nadto był bliski związek fonetyczny z dźwiękiem Bystrzyca. Akta sięgają lat 1730 i następnych.

Za tymi wioskami podnoszą się prawie bez przejść, można powiedzieć niespodzianie, okrągłe, tępe czapy i kopy szczytów sudeckich. Porosłe gęstym kożuchem lasów mieszanych, w których króluje dąb, jawor i buk — z liściastych, a świerk i rzadka sosna ze szpilkowych, mają wygląd ciemny i wilgotny. Rośnie w nich zatrzęsienie jeżyn, malin, leszczyn i innych jagód. I grzyby. Prawdziwe bogactwo tych miejsc.

Tu między dwoma szczytami górskimi kilka dziesiątek lat temu niemcy pobudowali tamę z potężnych bloków skalnych i cementu. Dało to w sumie pokaźne jezioro górskie o wielkim zapasie wody i usunęło groźbę powodzi, musiała bowiem ta kapryśna rzeczka być powodem klęsk i utrapień podczas burz i deszczów.

Miejsce to połączone ze światem trasami asfaltowych dróg jest łatwo dostępne dla wszelkich środków lokomocji i stanowi też ulubione miejsce krótkich turystycznych wypadów podczas każdego święta i niedziel. Widoki są dość ładne. W pewnym miejscu na szczycie zwanym Chojna wznoszą się ruiny starego zamczyska podobno z XI wieku.

Owo zamczysko jest klasycznym przykładem braku jakiego takiego poczucia estetyki i dystansu: niemcy tam jeszcze za swoich czasów obok muzeum zabytków średniowiecznych założyli... restaurację. Więc taras, więc stoliki, więc koncert muzyki popularnej, więc bufet, więc kramik z pamiątkami wyrabianymi w Norymberdze.

Widok ze szczytu zamkowej wieżycy jest istotnie rozległy i bardzo ładny. Zdaje się, że stąd można oglądać każdy orszak, jaki w kurzu podróżnym i w błyskach zbroic zbliżał się do zamczyska. Z jednej strony kładą się zieloną szachownicą pola orne, z drugiej lekkie fałdy podgórza, u którego brzegu widać domy i kominy Świdnicy. W prawo i lewo kołtunią się obrosłe borem górskie rozchyły.

Ruina oglądana z dołu, znad brzegu wody jest istotnie ładna. Zbliska wywołuje obrzydzenie tą właśnie swoją płaską merkantylnością. Nic nie pomaga tych kilka zbroi z muzeum i ten szkielet rzekomo ze średniowiecznych czasów kobiety zamkniętej w ciemnicy i przykutej do ściany kowalskim łańcuchem. Po wyjściu natrafia się na śledzika przy wódce lub na talerz jajecznicy.



*

Pod względem struktury agrarnej Śląsk Dolny przedstawiał dawniej wielkie latyfundia należące do baronów pruskich, zaawansowanych w służbie wojskowej, nierzadko w zamierzchłych czasach zniemczonych potom-

Stanisław Turczyn

Wyrok

W naszym kraju zadymione powietrze,
w naszym kraju szalał straszny Karzel.
I nikt dymów tych z nieba już nie zetrze,
to nie dymy naszych miast: to są nasze cmentarze.

Nasze pola stratowały czołgi,
nasze miasta zburzyła nienawiść.
Od powietrza, głodu, wojny i ognia
nikt nas nie wybawił.

Nam świątynie zburzył straszny Wotan
i pogański na ich gruzach począł obrzęd.
Nas nie ogień nawiedził, nie potop:
nas nawiedziła — Groza.

Boże, bądź wola Twoja na niebie,
a na ziemi niech się pokój stanie.
Za morderców swych modły dziś wznoszim do Ciebie:
od sprawiedliwości nie wybaw ich, Panie.

Gdy nad zbrodnią sprawiedliwi czynić będą sądy,
niech Twa mądrość ich nauczy, jak wyroki układać.
I morza tę przestrogę niech usłyszą — i lądy:
miłosiernym — biada, biada, biada!

ków szlachty polskiej — oraz drobnych rolników mających po kilka lub kilkanaście ha ziemi.

Te dwory królowały. Kulturą, obszarem, przepychem, dostojeństwem i stanowiskiem ich właścicieli. Wszystko to byli prawie baronowie: prawdziwa śmietanka najpierw cesarskich, a potem republikańskich Niemiec.

Ich pałace były muzeami, bibliotekami, miejscami osobliwych zbiorów czasem. Właściciele pałaców generałami, pułkownikami lub majorami. Nasza natura, ekskluzywna i zawistna jednocześnie spowodowała, że pomiędzy dw[illegible]em a wsią trwał nieprzerwany w natężeniu konflikt. Były to dwie obce i wrogie siły i obozy.

Natura niemiecka pozwalała z jednej strony mimo buty junkra na łaskawe zniżanie się do maluczkich, a z drugiej kontentować się, szczycić tymi okruchami kontaktów, jakich pan baron raczył użyczyć swoim drobnym płotkom sąsiedzkim. Stąd w Niemczech mimo tego samego podziału na dwory i wsie nie było tej atmosfery wrogości i nie było przepaści bez dna między jednymi a drugimi, co u nas: dwór niemiecki wpływał kulturalnie na bliską wieś niemiecką.

Po odejściu niemców nie wszędzie zdążono wywieźć muzea i zbiory prywatne po barońskich dworach zgromadzone. Zostały pamiątki i wartościowe eksponaty o dużej wartości naukowej i kulturalnej. Nie zawsze nasi ludzie obejmujący te placówki umieli ocenić i należycie zabezpieczyć owe bogactwa (niestety znowu!). Poniszczono biblioteki, zbiory broni, numizmatyczne, heraldyczne. Trochę było w tym bezmyślności, trochę niedbalstwa, trochę złośliwości. Fakt faktem, że wiele rzeczy cennych zginęło i tego odrobić się nie da. Jest to strata dla naszej kultury i nauki dość spora i to strata oparta na naszej winie.

*

Na bramie wisi skromny napis: „Dom wypoczynkowy Związku Samopomocy Chłopskiej. Brukowana droga, wysadzona strzelistymi topolami włoskimi i babiatymi lipami prowadzi do tego miejsca, którym jest dawny dwór baronów Reissensteinów. Wilgotny i cienisty park złożony tylko z drzew liściastych otacza cały dwór gęstą falą zieleni. Po ścieżkach i około gazonu przed ugankowanym wjazdem do pałacu bawią się dzieci polskie tych pracowników Związku Samopomocy Chłopskiej, którzy pracują po wielkich, miejskich skupiskach ludzkich. Dzieci te mają tu podreperować swoje wychudzone na miejskim bruku ciałka, ażeby przetrzymać długie dnie szkolnego czasu spędzonego zdala od wsi i zieleni. Mroczne, puste sale i wyłożone kamienną posadzką korytarze, po których niegdyś pobrzękiwały generalskie czy pułkownikowskie ostrogi, obecnie rozbrzmiewają srebrzystymi gamami śmiechu goniących się dzieci.

*

Wrocławszczyzna dawniej stanowiła cenną perłę gospodarczą w organiźmie państwa Bolesławów. Weszła i dziś na tych samych prawach i o tych samych walorach w treść życia naszego nowego, odrodzonego kraju.

Teodor Goździkiewicz

KONKURS
Departamentu Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki

Departament Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki ogłasza konkurs na opowiadanie, opis lub reportaż na jeden z dwóch następujących tematów:

„Krótkie opowiadanie z własnego życia zawodowego".

„Opisz dzień, w którym praca wykonywana przez ciebie wydała ci się piękną, pożyteczną i godną tego, by się jej poświęcić".

Wychodząc z założenia, że język pracy zawodowej powinien być jednym z ważnych — choć jest niedoceniany należycie — źródłem języka literackiego i ogólno - polskiego, Departament Literatury zwraca się do ogółu pracowników zawodowych z wezwaniem do uczestniczenia w konkursie.

Praca konkursowa nie powinna przekraczać 10 stron maszynopisu, względnie rękopisu. W opowiadaniu należy użyć możliwie największej ilości wyrazów, określeń i porównań zaczerpniętych z języka zawodowego. Byłoby przy tym pożądane używanie słów pochodzenia swojskiego.

Za wyróżnione prace przewidziano szereg równorzędnych nagród pierwszych po 10 tysięcy złotych, drugich po 7 tysięcy i trzecich po 5 tysięcy.

Termin nadsyłania prac upływa 10 grudnia r.b.

Prace należy nadsyłać pod adresem Ministerstwa Kultury i Sztuki, Departament Literatury, Al. I Armii W.P. 3 (dawniej Al. Szucha).

Władysław Leszczyński

Migawki dolnośląskie

Dolny Śląsk, w sierpniu.

Po obu stronach toru kolejowego z Bolesławca do Lubania rozciąga się wąski pas podmokłej łąki a dalej lasy, lasy i lasy. Od czasu do czasu ściana lasu przerywa się, by ustąpić płatom rozległych pól, przeważnie sterczących szczeciną ściernisk, gdzieniegdzie jeszcze pokrytych dojrzałym jęczmieniem lub owsem.

W ten chlebodajny pejzaż wpada niekiedy przykry dla chłopskiego oka dysonans makowych pól lub rozległych przestrzeni ostu. Abstrahując od wyliczeń ekonomicznych — jarzące się mocną czerwienią pola maku na tle ciemnych smug lasu i rozniebieszczonego nieba oddziaływują na zmysł piękna dodatnio i atrakcyjnie.

Spokojne przeżywanie piękna migających za oknem obrazów psuje jednakże rozsądne refleksje — im więcej tej pięknej czerwieni, tym mniej chleba, tym dalej do odbudowania zachodu.

Ta bezużyteczna a pociągająca soczystością i nasileniem czerwień nie jest przecież dominującym motywem D. Śląska. Przeważają tu pola zaorane, zasiane, falujące. W przeglądzie śląskich dokonań góruje ciężki trud rolnika na ziemi, która dzisiaj nie jest jeszcze obiecaną, mozolny wysiłek napiętych ramion robotnika dolnośląskiego w kopalniach, skalniach, przędzalniach, elektrowniach, zakładach metalurgicznych. Trzeba przyznać, że polskość gruntują tu te dwa elementy — chłopski i robotniczy. Polska staje tu naprawdę ich potem i ich wyrzeczeniami.

Zjeździłem ziemię D. Śląska od Wrocławia po Nysę i od Nysy po Wałbrzych. Stykałem się i rozmawiałem z ludźmi różnych warstw społecznych i różnych zawodów. W ich postawie życiowej, w ich stosunku do Śląska dominowała chęć pracy i wysiłku, pragnienie uczynienia ze Śląska żywotnej i gospodarczo aktywnej dzielnicy. Długą i mozolną trzeba było przejść drogę aby Śląsk zadymił kominami, zastukał warkotem traktorów, zadzwonił wiatrakami mechanicznej kosiarki. D. Śląsk to nie kraina chaosu i zastoju, do której życiowych, podstawowych zagadnień należy problematyka szabru. W normalizacji stosunków nie ustępuje D. Śląsk dzielnicom Polski centralnej i wypełnianie wrażeń ze Śląska opisami szabrowniczych wyczynów wykrzywia obraz śląskiej rzeczywistości i krzywdzi tysiące ludzi pracy — tych właśnie, którzy zrobili ze Śląska to, czym jest on dzisiaj. Milionowa, zaludniona, przemysłowa dzielnica. Prosperity szabrownicze Śląska jest już dziś sprawą dnia wczorajszego.

W jednej wsi dolnośląskiej rozmawiałem z kierownikiem dużego, państwowego młyna. Czerstwa, ogorzała twarz z bujnymi, siwymi wąsami. Wypracowany, doświadczony człowiek dwu wojen. Z niejednego pieca chleb jadał, na niejedno patrzył — spokojny, zrównoważony. Na Dolny Śląsk przybył wcześnie — w sierpniu 45 r. Opuszczona, odległa od kolejowego traktu wieś dolnośląska, zapełniona Niemcami, goszcząca wciąż element różnego rodzaju — a najczęściej spod ciemnej gwiazdy, — o zaminowanych polach i drogach, o czających się zasadzkach, niepewna i niebezpieczna — nie była tym, czym jest dzisiaj — ludną polską wsią, z bawiącymi się beztrosko na środku drogi dziećmi.

Mój znajomy nie należał przecież do ludzi trwożliwego wyczekiwania, patrzących czy przyjść na gotowe. Był bez pracy — wyzwolenie D. Śląska otworzyło szerokie perspektywy możliwości zarobkowych, zdobycie wolnych placówek pracy i źródeł utrzymania. To też nie namyślał się długo w cichym miasteczku podwarszawskim; spakował manatki i pojechał. Zatrzymał się w jednej z gęsto rozrzuconych wsi między Lwówkiem a Bolesławcem, gdzie znalazł odpowiedni dla siebie warsztat pracy — młyn. Młyn albo raczej to co kiedyś młynem było. Zniszczony, opustoszały, wyszabrowany budynek, bez pasów, bez okien, bez szyb, bez drzwi, bez urządzenia, z unieruchomionymi kamieniami, trzeba było dopiero przywracać krok za krokiem do jakiego takiego porządku. Budynek wymagał przede wszystkim gruntownego oczyszczenia — zdobywać trzeba było wszystko począwszy od gwoździa miotły, skończywszy na zwykłej sile roboczej i jakiejkolwiek fachowej pomocy. To co się w niego włożyło wymagało obrony przed okradzeniem w dzień i w nocy. Wreszcie młyn ruszył — sprowadzono pasy, uruchomiono kamień jeden, potem drugi.

Wiele się jeszcze na młyn zwalało niepowodzeń i trudności. Młyn jednak i jego kierownik przetrzymali wszystko. Bowiem ludzie tego właśnie typu stwarzali warunki bytowania w najbardziej nawet zapomnianych zkątkach na D. Śląsku. Ludzie uczciwi, pracowici, uparci, niezrażeni.

*

Prostych ludzi na zachodzie wypełnia jeszcze wątpliwość — czy też oni się tu utrzymają? Czy konferencja pokojowa nam to przyzna? Ta niepewność bróździ co nieco w codziennym, pospolitym wysiłku.

Obsiać nie obsiać — mówi do mnie mój przygodny interlokutor, posiadacz 24 ha ziemi. Pytanie jest retoryczne, gdyż już dawno zamówił w pobliskim miasteczku traktor do orki i poczynił przygotowania do siewu. Pyta jednak dla utwierdzenia się w przekonaniu, że tych mas ludzi z ziem historycznie i współcześnie polskich nic już nie ruszy. Odpowiedzi nie pozostaję mu dłużny: „Siej pan do pioruna — wołam — „rok temu się pan tu nie bał przychodzić a teraz pana jakieś zwątpienia opadają".

I dodaję — „Panie!—Niemców się stąd wypędza, nas tu jest przeszło milion a włożyliśmy tu w pieniądzach masy milionów, jakże my stąd teraz pójść możemy. Przecież to byłby nonsens. Świat musiałby się przewrócić do góry nogami".

Moje zaperzone oświadczenie nie było bardzo potrzebne, w to samo wierzył pomimo wszystko i osiedlony gospodarz na D. Śląsku — choć pytał czy tu pozostanie.

*

Na terenie powiatu bolesławskiego mieszkają Polacy z Jugosławii, którzy w zwartej masie przenieśli się z zamieszkiwanej przez kilkadziesiąt lat obczyzny. Oczekuje się nadejścia jeszcze kilku transportów, dla których zarezerwowane są gospodarstwa. Większość „jugosłowiańskich" Polaków widzi ziemie ojczystą po raz pierwszy. Urodzili się przeważnie i wzrośli na górzystych Bałkanach. Jako wspomnienie z obczyzny przywieźli częstokroć niepolskie, obcobrzmiące imiona. Duchem jednak i sercem byli zawsze z Polską czego dowiedli swoim gromadnym przybyciem.

Na drodze do Lwówka rozmawiam z świeżo przybyłym z Jugosławii przesiedleńcem. Jest „silnie zadowolony" jak mówi. Tu pola lepsze, nie takie, jak u nich. Tam w Jugosławii, to ino góry i góry. Koniki tylko mają słabe, nie wie czy poradzą.

W Masłowicach, wsi osiedlonej wyłącznie przez „Jugosłowian" zachodze do miejscowego sołtysa. Wysoki, barczysty, suchy chłop o silnej muskulaturze. Nazywa się Michał Jaskot. Do Jugosławii wywędrował jako 13-letni chłopak ze skąpej, nikłej gospodarki ojcowskiej nad Sanem.

I zaczyna się historia jakich było wiele tysięcy w okresie Polski przedrozbiorowej, jakich nie brakło i w okresie międzywojennej niepodległości. Ojczyzna nie dawała chleba, nie dawała pracy, nie dawała ziemi, bo dla... chłopa jej nie miała. Aby utrzymać tylko swój byt trzeba było iść na obczyznę.

Obok karłowatej zagrody Jaskota rozciągały się wprawdzie rozległe i urodzajne połacie pól, ale były to dobra pańskie, po które nie wolno było wyciągnąć ręki nędzarzowi na morgowym gospodarstwie. Jeśli dzieci chciał uratować przed śmiercią z głodu, to musiał je wygnać w świat na ciężką poniewierkę, na ciągłą harówkę, aby tam na obczyźnie upartą, nieludzką pracą dwu rąk dochodziły do własnego kąta, do własnego warsztatu i do największego upragnienia... do własnej ziemi. Ziemię dać im mogła dopiero obczyzna, choć jej było pod dostatkiem w kraju.

Ogorzały, spalony słońcem opowiada mi, skąpo cedząc słowa, dzieje swej 40-letniej emigracji.

Nie przypuszczał, że do Polski wróci Tyle się przecież przez ten czas przeszło. Jedna wojna, druga — ta ostatnia najcięższa i najdotkliwsza. Nie opowiedziałby i za dzień tych ciężkich chwil, z których każda naładowana była niebezpieczeństwem, groziła śmiercią, głodem, chorobą. Utrapieniem wsi byli serbscy czetnicy. — Ponawiane wciąż napady, rabunki, morderstwa zmusiły wreszcie ludność do wynoszenia się w lasy. Przez 3 lata nie nocowali we własnych domach. Życie zmieniło się w tułaczkę, wypełnianą czujnością i oczekiwaniem. Zaprawione w trudzie, mocne nerwy wytrzymały wszystko. Doczekali końca wojny. I kiedy po wsiach gruchnęła wieść, że można wracać do Polski, że można zabrać wszystko, że otrzymuje się tam na miejscu gospodarki i pola — zgłosili się wszyscy hurmem i z ochotą. Żaden z nich nie zostanie w Serbii — wrócą wszyscy do Polski na ziemie, na których zrodzili się sami lub ich ojcowie.

Na Dolny Śląsk przyjechał jako jeden z pierwszych, już w drugim transporcie 8 kwietnia(46 r.). Sołtysem został niedawno. We wsi osiedliło się już 800 rodzin, wszystko gospodarze, którzy pozostawili tam domy i pola. Nie wszyscy jednak przyjechali zaopatrzeni w bydło, urządzenia i narzędzia gospodarskie. Wielu z nich czetnicy zniszczyli zupełnie. Dlatego i ich wieś, jak wszystkie niemal na D. Śląsku cierpi na brak koni, krów, ziarna, nawozów, odzieży, opału. Są to powszechne bolączki, których dotychczasowe przydziały (tylko w bydle i w sianie) absolutnie usunąć nie zdołały. W niektórych powiatach (zgorzelickim) sprawa przedstawia się wprost katastrofalnie.

Jeżeli chodzi o obróbkę pola to sytuację ratują wysyłane w teren traktory. Z ich pracy nie zawsze są gospodarze zadowoleni — to też rozmawiający ze mną sołtys mówi: „lepiej żeby mieli swoje konie, to by my se już tak obrobili jak chcemy".

Pod koniec rozmowy zaszczepiony znów na gruncie polskim „Jugosłowianin" nabiera zaufania i patrząc mi w oczy mówi z przejęciem, jakby chciał aby te właśnie słowa specjalnie utkwiły mi w pamięci:

„Wie pan, ziemia mi się tu widzi urodzajna, rodziłaby dobrze. Ale w ten rok zniszczyły nas myszy, gdzieniegdzie to nie pozna że siane. To też sami nie wydołamy. Wiemy, że pracować trzeba i my z Jugosławii pracować potrafimy. Rząd nam pomógł, nie mogę powiedzieć, ale my jeszcze pmocy potrzebujemy. Nie za darmo — zagospodarujemy się, oddamy wszystko. Ale teraz nam ciężko. Dzieciska nie mają odzieży, na zimę nie mamy opału — teraz znów pod jesień nie ma nawozów".

Uderzyła mnie w tych chłopach z Jugosławii ich wielka godność, rozsadek, trzeźwość a przede wszystkim poczucie silnej więzi społecznej i narodowej.

Byli to ludzie z których ust słyszałem najmniej skomlenia, narzekań, a za to wiele spokoju, powagi i ufności. Ci ludzie przeszli dobrą szkołę życia i wiedzieli, że los zdobywa się wytrwałością i uporem.

*

Ten sam zapał i poczucie ważności swej pracy widziałem w coraz rozrastającym się i krzepniejącym przemyśle dolnośląskim. Na Śląsku ilość uruchamianych zakładów przemysłowych zwiększa się wprawdzie, nie z dnia na dzień, ale niemal z miesiąca na miesiąc. Sieć elektryczna rozpościera się coraz szerzej po D. Śląsku. Na północy wszystkie miasta i kilkadziesiąt wsi posiadają już światło. Południe, gdzie sieci były mniej zniszczone, jest zupełnie zelektryfikowane.

Ośrodkiem przemysłu dolnośląskiego jest okręg wałbrzyski. Sam Wałbrzych to miasto węgla i energii elektrycznej, której część eksportujemy do Czechosłowacji. Wałbrzych to na terenie D. Śląska jedyne miasto podobne z wyglądu do górnośląskich miast fabryk: Chorzowa, Zabrza, Bytomia. Przenosi je tylko wspaniała, górzysta okolica z licznie usianymi na zboczach czerwonymi dachami domów kolonii robotniczych. 5 km od miasta znajduje się jedno ze słynnych, śląskich uzdrowisk — Solice-Zdrój — miejsce gdzie człowiek pracy znajduje wypoczynek i zdrowie.

Wskaźnik produkcji wszystkich zakładów przemysłowych wykazuje tendencję wzrastającą pomimo wciąż istniejących i czasem ciężko usuwalnych trudności: miesięczną normę produkcji niemal z reguły się przekracza.

Dziś ziemie Dolnego Śląska to tętniące żywym i ruchliwym życiem tereny. Dolny Śląsk nabierze ważności i ceny w wymiarach ogólnopolskich. Odbywają się tu zjazdy gospodarcze, przemysłowe, kulturalne, decydujące o charakterze życia i gospodarki w całej Polsce.

*
**

D. Śląsk jest modny i popularny w najszerszych kręgach społeczeństwa. Miejscowe uzdrowiska przeżywają prawdziwą inwazję letników i kuracjuszy z całej Polski.

Takie nazwy jak Jelenia Góra, Karpacz, Szklarska Poręba, Duszniki, Kudowa są dziś najbardziej znane z wszystkich nazw miejscowości ziem odzyskanych.

Przypuszczam, że z bezstronnością można powiedzieć, że Dolny Śląsk przoduje w pędzie ku uregulowanemu i dostatniemu życiu przyszłości.

Jacek Bocheński

Gawęda z kosiarzem

Jeszcze dziś pamiętam ten dzień siny.
Zgrzytały trawy kwaśne i kosy.
A ty, żniwiarzu bosy,
zapytałeś mię o zawód— odpowiedziałem „liryk".

Chociaż z serca biegła struna tej lutni,
proszę cię o przebaczenie,
że ptakom leśnym mówiłem słowo przestrzeni
ja — poeta jezior i księżyca, ja — śpiewak wierutny.

Obywatelu ojczyzny mojej, kosiarzu — mistrzu mój!
Co dnia bardziej
uczę się piosenką słowików gardzić,
a kochać pług, którym z wiosną orzesz, i swój dębowy stół.

Adolf Olechnowicz

Duńską drogą...

(fragmenty)

DROGI POSTĘPU DANII*)

Charakterystyczną cechą pierwotnej wsi duńskiej była wspólnota. Wyrażała się ona głównie w zbiorowej obróbce ziemi. Wiązało się to z wynalezieniem ciężkiego pługa kołowego, który musiał być pociągany przez 6—8 wołów i obsługiwany przez kilku ludzi. Każdy gospodarz dawał, na ile go było stać, siłę pociągową — woły i pracę ludzką i otrzymywał za to odpowiedniej wielkości uprawioną już parcelę — co roku inną. Stałą własnością był tylko mały obszar koło domu. Dworów było mało, a i te co były, nie miały władzy nad wolnymi chłopami.

Z czasem wzrasta władza królewska, a co gorsza — kościelna. Już w XII wieku narzuca kościół chłopom dziesięcinę. Zaś świadczenia i usługi na rzecz króla zamienia się na stałe opłaty roczne. Były to pierwsze podatki państwowe. Mimo to wieś duńska do końca XII wieku jest jeszcze wolna: rządzi się własnym prawem w/g t. zw. statutów określających zasady gromadzkiego współżycia. Wybierała wieś spośród siebie co roku oldermana i 2—3 radców. Od czasu do czasu odbywały się zgromadzenia ogólne całej gromady — np. na wiosnę w sprawie rozpoczęcia prac rolnych, lub po zasiewach — obchodzono pola z kapłanem i składano ofiarę, żeby dobrze rosło.

Od XIV wieku, na skutek ciągłych wojen i najazdów, chłopi coraz bardziej tracą niezależność. Obciążani olbrzymimi podatkami nie mają wyjścia i przechodzą do dworu, lub do kościoła na czynsz, który prędko przekształca się na pracę dzienną. I tak rodzi się pańszczyzna.

Kościół w Danii nadużywa swej władzy tak, jak i gdzie indziej. Ale tutaj trwało to nie długo, bo oto już w roku 1536 następuje reformacja kościelna. To uwolnienie się od katolickiego duchowieństwa i od papieża odegrało w kulturze Danii wielki i dodatni wpływ.

Niestety, wzrastało znaczenie szlachty, a w związku z tym dola chłopa stawała się coraz cięższa, tak, że od XVII wieku do połowy wieku XVIII-go wolny chłop duński przestaje istnieć. Trwało to prawie przez dwa wieki, to jest dotąd, póki Dania prowadziła błędną politykę gospodarczą, politykę sztucznego uprzemysłowienia kraju. Dopiero gdy zrezygnowano z merkantylizmu i zwrócono główną uwagę na rolnictwo, tę naturalną i trwałą podstawę bogactwa Danii — wtedy tak dola chłopa, jak i sytuacja gospodarcza kraju zaczęła się wyraźnie polepszać. Oczywista nie stało się to od razu. Bo w rozwoju kultury nie ma cudów — można rozwój jej przyśpieszyć, ale nie da się nic przeskoczyć, całkowicie ewolucję ominąć.

Czasy ostatniego dwudziestolecia wieku XVIII-go i pierwszego dziesiątka wieku XIX-go są okresem wielkich reform agrarnych Danii. W tym czasie postęp wsi duńskiej, a co za tym idzie i całego kraju rusza naprzód szeroką ławą. Jest to, w wielkim stopniu, zasługa ówczesnej władzy państwowej, która: znosi poddaństwo, pańszczyznę i wspólnotę wiejską oraz przeprowadza uwłaszczenie chłopów, popiera rolnictwo, reformuje podatki, przeprowadza taksację ziemi, zamienia na opłaty dziesięcinę, znosi zakaz przywozu, obniża cła, zezwala chłopom na swobodne tuczenie i eksport wołów (przed tym prawo do tego miała tylko szlachta), organizuje szkoły — rolnicze i ogólne, wydaje pisma i prace naukowe rolnicze.

W pierwszej połowie wieku XIX-go następuje zahamowanie rozwoju Danii. Przyczyna — jak zawsze i wszędzie — wplątanie się Danii w wir wojny. W skutkach dochodzi do katastrofy, zdaje się rzadko spotykanej w historii; oto państwo ogłasza bnkructwo. Rząd próbuje ratować rolnictwo: skreśla część zaległych podatków, resztę podatków przyjmuje w naturze, wreszcie obniża je o 1/3 i wprowadza pożyczki państwowe na dogodnych warunkach.

Ciężki ten kryzys, który Dania przeżyła w połowie XIX-go wieku miał i dodatnie strony — zahartował rolników, nauczył rozsądnej gospodarki oraz zatarł różnice i mocno zbliżył chłopów i husmenów**).

Wreszcie kryzys powoli mija. Następuje poprawa, pojawiają się rynki zbytu, rosną ceny produktów rolnych, wprowadza się do rolnictwa ulepszenia techniczne. Obok odrodzenia gospodarczego, zachodzą przemiany kulturalne, przeobrażenia społeczno-polityczne. Likwiduje się resztki pańszczyzny, ustala się własność. Szerzy się oświata rolnicza, powstają chłopskie stowarzyszenia. Wreszcie, pod wpływem prądów demokratyczno-liberalnych, ustanawia się w roku 1849 konstytucję, która wprowadza równe i powszechne prawo głosowania. Tak to chłop duński, świadomy odpowiedzialności, wchodzi do współrządów państwa.

W roku 1864, skutkiem wojny z Prusami i Austrią, traci Dania 1/3 swego obszaru i ludności. Ciężki to był cios, ale Duńczyków nie załamał. Postanawiają oni tę wielką, bolesną stratę odrobić pracą wewnątrz kraju. Źródło mocy i odrodzenia widzą i znajdują w rolnictwie i w zdrowej masie ludu wiejskiego. Nie czekają, jak to bywało gdzieindziej, aż „chłopi dorosną" do samodzielnej pracy i rządzenia. Chłopi wchodzą do parlamentu, a w roku 1901 ministrem rolnictwa zostaje prosty chłop Ole Hansen. Co prawda przeżywa Dania jeszcze kilka razy kryzys, jak w roku 1880, w 1931/32. Ale kryzysy te umiała już znieść bez bankructwa. Oto np., kiedy wskutek konkurencji krajów zamorskich następuje spadek cen na zboże, przestawia się Dania z produkcji zbożowej na zwierzęcą i staje się jedną wielką fabryką mięsną. Dzięki temu nie tylko nie musi wyzbywać się za bezcen zboża, ale zaczyna je sprowadzać — w ten sposób spadek cen zboża na rynkach zagranicznych działa na jej korzyść.

Gospodarcza przemiana Danii dokonywuje się w ścisłym związku z silnym rozwojem spółdzielczości, która głównie organizuje produkcję i prowadzi zbyt. Ale o tym niżej.

W tym też czasie przeprowadza się państwową parcelację gruntów i tworzy się drobne gospodarstwa, tak zwanych państwowych husmenów; państwo na gospodarstwa te daje pożyczki w wysokości 9/10. Godne uwagi jest to, że od kandydata na gospodarza takiej parceli wymagało się odpowiednich kwalifikacyj: dwie osoby musiały stwierdzić, że jest on pilny i pracowity, zdolny do prowadzenia samodzielnego gospodarstwa i nie ma własnych środków na zakup. Gospodarstwa husmenów i mniejsze gospodarstwa są w Danii najmocniejszą formą gospodarstwa rolnego. Sięgnijmy dla ilustracji do paru chociaż liczb: w roku 1927/28 husmeni produkują z 1 hektara 5 razy więcej świń, niż wielka własność, w roku 1937/38 — dwa razy więcej produktów mlecznych, 8 1/2 razy więcej drobiu.

Potężną rolę w odrodzeniu Danii, w kształtowaniu się jej oryginalnej kultury, w wychowaniu nowego człowieka odegrały uniwersytety ludowe. Nie przygotowywały one do żadnego zawodu, nie uczyły one bezpośrednio ani rolnictwa, ani spółdzielczości, ani żadnego rzemiosła. One przede wszystkim wychowywały, wychowywały nowego mocnego, rzetelnego człowieka dla nowej, odradzającej się Danii. Budziły poczucie wspólności i wielkiego sensu działania dla wszystkich, zaszczepiały i rozwijały szczerą demokrację. Przeciętnie, co trzeci Duńczyk był w uniwersytecie ludowym i dopiero potem, w zależności od powołania, szedł do odpowiedniej szkoły zawodowej — rolniczej, czy jakiejś innej.

W Danii jest olbrzymia ilość stowarzyszeń rolniczych, przy tym istnieje b. szeroki wachlarz specjalizacji. Każdy Duńczyk bywa członkiem kilku organizacyj, oczywista, członkiem naprawdę czynnym. Członkami tych stowarzyszeń bywają b. często także profesorowie, bo nauka w Danii jest w stałym i ścisłym kontakcie z praktycznym życiem. W kontakcie ścisłym ze stowarzyszeniami roln. jest również rząd — od stowarzyszeń wychodzą projekty niektórych ustaw.

Nie będzie wcale przesadą, jeśli powiemy, że główną siłą gospodarczą Danii jest spółdzielczość, tak jak uniwersytety ludowe stanowią główną jej siłę moralną. Przez spółdzielczość właśnie wydobywała się Dania z upadków, klęsk, przez spółdzielczość przede wszystkim stała się znaną, sławną w świecie. Spółdzielczość duńska wyrastała z potrzeb naturalnych, z potrzeb życia i rozwijała się na zasadzie zupełnie dobrowolnej współpracy gospodarczej dla wspólnej korzyści. Najpierw rodziły się w terenie komórki najniższe, potem wiązały się one w okręgi, następnie w prowincje i wreszcie w związki ogólnokrajowe. Przy tym wszystkie są prowadzone przez samych rolników. W spółdzielczości wprowadzono zasadę daleko idącej specjalizacji. Spotykamy tam najprzeróżniejsze rodzaje spółdzielni, jak to: spożywców, mleczarskie, rzeźnicze, jajczarskie, maszynowe i wiele innych. Wszystkie główne dziedziny gospodarstwa rolnego kraju opanowały one całkowicie. Sięgnijmy znów dla ilustracji do statystyki: oto liczba członków spółdzielni mleczarskich wynosi 189 tysięcy, zaś członków rzeźni spółdzielczych — 195 tysięcy, a gospodarstw w Danii jest 204 tys. Ta drobna różnica między liczbą członków spółdzielni a ilością gospodarstw, to prawie wyłącznie właściciele większych majątków; poza nimi, wszyscy chłopi i husmeni należą do spółdzielni i to często do kilku naraz.

Zdrowa struktura agrarna, doskonała oświata ogólna i fachowo-rolnicza, świetnie rozbudowany aparat kredytowy, a przede wszystkim żywy ruch zrzeszeniowy i wzorowa organizacja spółdzielczości oto główne drogi postępu Danii. Drogi te doprowadziły do tego, że od roku 1861 do 1929 powierzchnia uprawna kraju wzrosła o 26 proc., bo wydmy, torfowiska, nieużytki, moczary, zamieniono na rolę, że większość pól zdrenowano, że od 1920—30 zużyto ponad 900 milionów kg nawozów sztucznych, kiedy za takich samych 10 lat od 1880—1890 r. zużyto tylko 17 mil. kg, że w każdym gospodarstwie duńskim pracują dziś maszyny, że od roku 1861 do 1933 wzrost krów mlecznych wyniósł 112 proc., a wydajność mleka zwiększyła się siedmiokrotnie, masła — dziesięciokrotnie, że wydajność mleka z jednej krowy wzrosła więcej niż trzykrotnie, a masła — 4 1/2 razy, że maksymalna wydajność mleka z jednej krowy rocznie doszła do 12.326 kg, że handel zagraniczny, w przeliczeniu na głowę, jest w Danii największy na świecie, przy tym artykuły duńskie najwyższej są ceny.

*) E. Garbacik — „Wieś duńska dawniej a dzisiaj".

**) husmenowie — drobni rolnicy.

Stanisław Paleczny

Głosy z terenu

PRZEBOJEM

Było to na początku czerwca ub. roku. W naszych górskich terenach powiatu wadowickiego, przeładowanego ludnością i biedą jeszcze przedwojenną, po minionej wojnie nic się nie polepszyło, pomimo że dość duży procent ludności wyjechał w Świdnickie, by tam szukać szczęścia, którego tu nie zaznali nigdy. Ale to jeszcze mało. Wielu ich jeszcze chciało jechać, lecz czekało na ustalenie się granic, na zmianę rządu, na trzecią wojnę i t. p. Widząc jednak, że czekanie nic nie da, owszem, dalszą biedę, zaczęli myśleć o wyjeździe do tej „Ziemi Obiecanej".

Tu jednak zaszła mała, ale o dużym znaczeniu przeszkoda; indywidualne gospodarki dla „centralaków" już stały się nie dostępne. Trzeba chyba obejmować folwarki, ale to już przez spółdzielnie parcelacyjno - osadnicze, które trzeba tworzyć dopiero. Zarządy powiatowe „Wici", które objęły działalność osadnictwa spółdzielczego ruszyły z propagandą w teren przez ogłoszenia gminne i gromadzkie. Byli jednak tacy, co mówili: Co, spółdzielnie chcą zakładać, razem robić jak za pańszczyzny, adyć to proste kołchozy; co zrobicie, to rząd zabierze i t. p. brednie.

Kto słuchał, to siedział dalej w domu, ale ci, którym to już wszystko dopiekło, zbierali się, radzili i w końcu 12 czerwca wyjechała z powiatu wadowickiego pierwsza delegacja pierwszych osadników spółdzielczych pod kierownictwem sekr. pow. „Wici" ob. St. Sporysza. Teren, który został nam wyznaczony do osadnictwa, to powiaty Milicz i Trzebnica w woj. wrocławskim. Okolica śliczna, uzdrowiskowa, ziemia średnia, pełna lasów i sadów owocowych.

Delegacja walcząc po drodze z różnymi trudnościami, jak brak środków lokomocyjnych, a co najgorsze brak zrozumienia ważności osadnictwa rolnego na tych ziemiach u tych, co w pierwszym rzędzie są powołani do sprawowania zadań osadnictwa, nie spoczęła, aż zwiedziła i zbadała możliwości osadnictwa na niektórych majątkach. Wróciwszy do domów zdała relacje zainteresowanym. Po krótkich już przygotowaniach zebrawszy się w Wadowicach 13 lipca w liczbie 60-ciu (same tylko głowy rodzin), posegregowani już w grupy spółdzielcze wyjechaliśmy do Trzebnicy.

Tutaj po wstępnych formalnościach w P. U. R.-rze gromada wyruszyła na obchód zakwalifikowanych do objęcia majątków. Temu podoba się ten, temu tamten, ten gani, drugi myśli: — Ziemia niczego, lecz jak okiem spojrzysz trawy i osty; budynki owszem, choć kompletnie wyszabrowane, bez mebli, okien, często drzwi, same pustki. Nie trza to było łońskiego roku jechać do Świdnicy, mówi drugi, tam było wszystko, i koń się znalazł, i krowy, pole obsiane, i dom pełny wszystkiego, i niemcy do roboty, a tu nic i nic, ino ta goła ziemia. — Nie godoj, ze goło, śmieje się drugi dowcipniejszy, bo z trawy wnet by ci głowy nie było widać. — Trowa trowom, ale co tu bedzies jod przez cały rok, kie tu nic latoś nie zbierzesz? Ostem sie nie wyzywis!

Tak dogadując jeden drugiemu przeszliśmy kilka majątków i wróciliśmy do Trzebnicy. Jedna tylko grupa w liczbie 17-stu stanowczo zdecydowała się zająć majątek Kopaszyce, reszta po tygodniowych jeszcze łazęgach i różnych tarapatach nie mogąc, przyjść do ładu ani między sobą, ani z urzędami, rozjechała się do domów.

Zostająca grupa zawiązała zaraz spółdzielnię parcelacyjno - osadniczą i wybrała zarząd, poczem przybywszy do majątku zaczęła się „legalizować". Tylko proszę nie myśleć, że na Zachodzie tj. w Trzebnicy i okolicy są ludzie wszystko wiedzący. O spółdzielniach nikt tu jeszcze nigdy nie słyszał, urzędnicy nie wiedzą jak do nich podejść i sprawy załatwić, jeden odsyła do drugiego, ten do trzeciego i t. d.

Od dwóch prawie miesięcy jak jesteśmy na majątku, nikt jeszcze urzędowo nie zawitał do nas, by nam zdać protokularnie ten majątek, o co już kilkakrotnie apelowaliśmy w starostwie u referenta osiedleńczego. Staramy się o zboże siewne, o przydział żywego inwentarza i znów ta sama historia od Piłata do Heroda, wszędzie grzecznie pragną, by im dać spokój. Mimo wszystko zaczęliśmy prace od koszenia traw, w czym dzielnie pomagają nam osadnicy okoliczni, przeważnie przybyli zza Buga. Koszą, ale nie dla nas, tylko wyłącznie dla siebie. Nie bardzo uznają prawo własności i to w wielu innych rzeczach jest smutne.

Kto pomoże bronić niby naszej „własności"? Było coś owocu, też to tak wspólnie poszło, a niech tam, więcej już i tak nie ma do dzielenia się. Będzie więc na razie spokój chyba. Ale gdzież tam!

Jednej nocy ktoś zabiera bramę żelazną od dworu, innej nocy giną drzwi frontowe z domu osadnika i t. p. wciąż nowe urozmaicenia. Acha, byłbym zapomniał o jednym: jesteśmy też żywi przecież i jako tacy chcemy jeść; zapasów własnych nie mamy, w gminie dostaliśmy wprawdzie kartki żywnościowe, ale dopiero za dwa miesiące po ich otrzymaniu można coś na nie dostać, a więc przymieraj człeku z głodu, gdy gotówki nie masz, a przecież nasz powiat nie chlubił się nigdy złodziejami. Brak nam czasem tych cennych zalet życiowych.

Nikt jednak nie traci ducha, nie załamuje się, owszem wszelkie braki wyrównywuje się nieraz humorem i każdy mówi, że pomimo biedy chwilowej nie dałby się stąd ruszyć. Taka zawziętość do walki z losem, do trwania na raz zajętym stanowisku jest w każdym z nas. Byle tylko coś niecoś zasiać, a o resztę furda! Ziemia polska musi Polaków wyżywić i wyżywi, tego chcemy i to się stanie. Wiara i wola to fundamenty naszej tutaj przyszłości.

Plany nasze na przyszłość są wielkie, ale o tym mówić przedwcześnie. Jesteśmy przecież pierwszą spółdzielnią z powiatu wadowickiego i pierwszą w powiecie trzebnickim. Z tej racji musimy stanąć na odpowiednim poziomie, ale pomału. Braki są wielkie. Nie ma światła, radia, książek, nawet gazet, jesteśmy jeszcze na to wszystko za biedni, ale to będzie.

Przebojem zwalczymy wszystko, by tylko żyć dla siebie i kraju, by już — nasze dzieci nie szły do obcych po chleb i marną zapłatę, jak to czynić musiały poprzedzające nas pokolenia. Spodziewamy się, że naszym śladem pójdzie wiele innych i że wnet zachwaszczone jeszcze całe obszary zazielenią się zbożem i chleb zapachnie dla wszystkich. Ziemie Odzyskane powinny być śpichrzem dla całej Polski jak były dla Niemiec, lecz pracy i zrozumienia dla osadniczych trudów potrzeba wiele.

I CO NAM Z DANII?

Historii uczymy się nie dlatego, żeby tylko ciekawość zaspokoić, lub żeby się popisywać historycznymi faktami. Uczymy się historii głównie po to, żeby na podstawie poznanej przeszłości udoskonalić teraźniejszość i przyszłość i stać się narodem i państwem mocniejszym, lepszym, rozumniejszym.

I cóż nam wobec tego z historii Danii?

Źródłem odradzania i wspaniałego rozkwitu Danii jest niewątpliwie wieś, ściślej mówiąc — chłop; chłop w pojęciu naszym. On to właśnie, stając się z niewolnika równym, pełnoprawnym człowiekiem, wchodząc w naród, w państwo, w rząd, wniósł niezmanierowane jeszcze, zdrowe treści swojskiej kultury i zasilił nimi kulturę ogólnonarodową tak obficie, że przeobraziła się ona szybko z karłowatego krzewu, stylizowanego przed tym ręką obcego ogrodnika, w potężne drzewo rodzime, obejmujące bujną koroną swoją cały naród i państwo. A więc Dania przeobrażała się nie według z góry ustalonej recepty czy doktryny. Oczywista nie znaczy to wcale, żeby Duńczycy odgradzali się od świata murem chińskim, żeby w każdej dziedzinie chcieli wszystko sami na nowo odkrywać — przecież ideę spółdzielczą przejęli z zagranicy.

Stosunek ich do różnych doktryn i dogmatów nie był ani zbyt gorący, ani też zbyt zimny, tylko właśnie — spokojny, poważny, głęboki — stosunek badacza. Gorącym zaś, gorącym z całej siły, gorącym wszędzie i zawsze był ich stosunek do ruchu ludowego. Bo ruch ludowy to nie doktryna. Była to żywa, wzbierająca rzeka odradzającej się Danii, rzeka, która potężnym wylewem czystej, rodzimej treści swojej, skąpała ojczyznę tak wspaniale, że spłynęła z niej wszelka pleśń i nalot.

Wydaje mi się, że na tym rozdziale historii Danii, mogłoby się wiele narodów uczyć. A i my jeszcze, mimo wszystko, zaglądać tu powinniśmy..

Przobrażenie Danii nie dokonało się w ciągu jednego dnia, ani w ciągu roku. Trzeba było na to lat kilka dziesiątków. Kilkadziesiąt lat temu Dania nie wyglądała lepiej od Polski, a dzisiaj znajduje się daleko w przodzie. Nie znalazła się tam wskutek jakiegoś cudownego skoku. Naród, który ongiś był na pierwszym kilometrze wielkiej drogi postępu, a dziś znalazł się na setnym kilometrze tej drogi, musiał tę stukilometrową przestrzeń przebyć. Oczywista każdą przestrzeń można pokonywać różnymi środkami lokomocji — pieszo będzie to trwać długo, autem — znacznie szybciej, a samolotem — bardzo szybko; niemniej jednak, tak czy inaczej przestrzeń tę przebyć trzeba. Słowem, postęp w jak najpełniejszym tego słowa znaczeniu, musi się dokonywać na drodze ewolucji. Można i trzeba ewolucję tę przyśpieszyć, bo zupełnie uniknąć jej pewnie się sie da.

Oczywiście, nie można na drodze postępu odgradzać się od świata, lecz najpiękniejsze elementy kultur obcych można i trzeba przyswajać, ale nie niszczyć przez to kultury rodzimej, tylko ją uszlachetniać — zaszczepiać na nowej, jako na rodzimej podkładce, nowe, doskonalsze treści.

Rdzeniem, jądrem powinno pozostać zawsze to, co najbardziej nasze. A najbardziej nasza, najbardziej polska, najczystsza jeszcze od obcych wpływów jest niewątpliwie wieś, jest bezsprzecznie kultura ludowa. To też dążąc do jak najszybszego i jak najpełniejszego postępu trzeba nam ciągle o tym pamiętać. Pamiętali o tym Duńczycy i dlatego odradzając się w nowy naród i państwo, nie zatracili się — pozostali sobą.

Twierdzą niektórzy, że dbanie o materialną stronę życia zuboża wewnętrzne, duchowe wartości człowieka. Historia Danii dowodzi, że wcale tak nie jest. Postęp ekonomiczny stwarzał tam właśnie doskonałe warunki dla postępu ducha. Źródłem upadku moralnego najczęściej bywa niedostatek, ubóstwo, nędza.

Kto wie, czy wobec tego nie należałoby zwrócić więcej uwagi na stronę ekonomiczną naszego narodowego i państwowego życia? Ko wie, czy nie za dużo u nas było humanizmu? Oczywista, wszelka przesada, jednostronność, jest zawsze niebezpieczna, to też i skrajny materializm jest niemniej szkodliwy, jak przesadne uduchowienie. Najważniejsze — zachować tu umiar, równowagę, harmonię.

Są dzisiaj jeszcze tacy prorocy, którzy przepowiadają wielki kłopot, jaki zaistnieć ma wskutek rozbudzenia wsi polskiej, wskutek żywiołowego pędu chłopa do kształcenia się, zwłaszcza — ogólnego, a nie fachowego — rolniczego, bo to będzie nadprodukcja inteligencji, bo to zbraknie posad, a wykształcony „fizycznie" pracować nie będzie chciał, bo to pełnego wykształcenia nie jeden nie zdobędzie i stanie się człowiekiem zwichniętym, niepożytecznym itd. Są to bzdury, w dodatku bzdury nieuczciwe. Duńczycy zdaje się takich proroctw wcale się nie bali. Na ten temat osobny warto napisać artykuł. W paru słowach da się przypomnieć, tyle tylko, że nikomu jeszcze wykształcenie nie zaszkodziło, bez względu na to jak wielką jego dawkę zdołał ktoś przyjąć. Widzieliśmy w czasie wojny cały szereg sędziów, adwokatów, inżynierów, nauczycieli, ba — naukowców, którzy trudnili się rolnictwem lub jakimś rzemiosłem i wcale nie robili tego gorzej od niewykształconych. Odwrotnie — mamy cały szereg przykładów, kiedy inteligent-gospodarz był wzorem dla swojego środowiska, wzorem udoskonalonej, produktywnej pracy i dobrego, kulturalnego życia.

Twierdzenie, jakoby chłopi powinni iść tylko do szkół rolniczych, to nawracanie do zasady „glebae adscripti". Po pierwsze, co ze szkoły rolniczej temu, który jest piątym, czy szóstym dzieckiem u rodziców-właścicieli aż dwumorgowego gospodarstwa, a po drugie — kto potrafi udowodnić, że dane chłopskie dziecko nie jest akurat polskim Thorvaldsenem, Paganinim, Kochem, Edisonem, czy drugim Matejką lub Chopinem. Najgenialniejszy pedagog w pierwszych latach nauki odkryć tego nie zdoła.

Powszechnie znane jest powiedzenie, że duńskie krowy dlatego dużo mleka dają, że właściciele ich czytają poezje. To nie frazes. Wykształcenia najbardziej ogólnego lękać się nie trzeba, bo zrentuje się ono zawsze, nawet w najbardziej specjalnej gałęzi pracy. Kształcenie się ogólne nie jest też, jak twierdzą niektórzy, marnowaniem czasu, bo mając ogólne wykształcenie, naukę specjalną, praktyczną przyswaja się i szybko i łatwo, nawet bez nauczyciela — drogą samokształcenia się.

W historii Danii czytamy, że kraj i naród duński przeobraziły dwie instytucje: spółdzielnia i uniwersytet ludowy. Trzeba przy tym pamiętać, że spółdzielczość tam powstawała od dołu, rozrastała się, komasowała się w coraz większe związki, że współpracowała z państwem, ale pozostawała zawsze od niego niezależną, niekrępowaną, samorządną. Uniwersytetom ludowym również nie narzucał rząd swojej woli, tylko je wspierał. Dzięki temu instytucje te mogły wychować nowego człowieka — człowieka wolnego, samodzielnego, rzetelnego, umiejącego krytycznie myśleć, uczciwie żyć, rentownie pracować i rozumnie rządzić.

Myślę, że w tych dwu instytucjach po duńsku pojętych leży i nasze odrodzenie.

Adolf Olechnowicz

Józef Bieniek

O właściwy kolor honoru chłopskiego

(artykuł dyskusyjny)

W kapitalnej książce prof. Pigonia „Z komborni w świat" znajdują się świetne ustępy poświęcone zagadnieniu honoru chłopskiego. Autor z właściwą mu wnikliwością analizuje dogłębnie ten tak mocno skomplikowany, choć na oko zupełnie prosty kompleks pojęć i uczuć składających się na całość chłopskiego poglądu na sprawy honoru.

Poza Pigoniem nie wielu pisarzy i nie wiele pism chłopskich zajmowało się tym problemem. A szkoda, bo temat to istotnie pasjonujący, o treści naprawdę poważnej. Można by nawet bez obawy przesady zaryzykować twierdzenie, że od właściwego nastawienia i podbudowania pojęcia honoru u ludzi wsiowych, zależeć będzie rozwój osobowości chłopskiej w sensie najbardziej pozytywnym, a także szybkość przemian, jakie dokonać się powinny co rychlej w duchowym i umysłowym życiu wsi.

Wprawdzie zagadnienie to nie w całej Polsce posiada jednakowo silną i rozległą skalę znaczenia. Inaczej bowiem sprawa ta przedstawiać się będzie na Śląsku, w Poznańskim i na Pomorzu, a inaczej w Małopolsce lub na terenach centralnych, czy wschodnich. Niemniej jednak w całym zbiorowisku mas chłopskich istnieją pewne wspólne momenty psychiczne wiążące się mniej lub więcej ściśle z pojęciem honoru.

Zjawisko honoru na wsi dosyć mocno jednoczy się z wiekiem i siłą człowieka, narasta i uszlachetnia się z rozwojem jego pojęć i uczuć, względnie dziczeje z ich zanikiem czy deformacją. Często też wyraża plastycznie charakter danej jednostki, stając się sprawdzianem moralnej i społecznej wartości ludzkiej.

Kiedyś przed wojną, byłem świadkiem rozprawy sądowej przeciw głośnemu na okolicę złodziejowi. Na pytanie sędziego co oskarżonego skłania do uprawiania tak niecnego procederu, odrzekł tenże: Mój honor, panie sędzio. Sędziego zatkało. Jakto?! — wybucha. No tak, — odpowiada najspokojniej w świecie złodziej: kradnę, by mieć pieniądze, by ładnie się ubrać, popić i pohulać, bo mój honor nie pozwala mi bawić się w dziada.

Liczne niestety do dziś bójki wiejskie, których następstwem nierzadkim są ciężko ranni i zabici, powstają najczęściej z powodów „honorowych". Młodzież jest w tym wypadku niejako spadkobierczynią szumnej, a dzikiej buty dawnej szlachty hołdującej zasadzie, że plamę na honorze tylko krwią zmazać można.

Przebywając często w środowisku notorycznych „kozaków" - awanturników i bitników słyszałem w wielogodzinnych „rozhoworach bitewnych" — rozmowach, opowieściach i dyskusjach wciąż powtarzający się temat **honoru.** On wlazł mi na honor, więc wybiłem mu zęby, lub rozwaliłem łeb. Oni nas obrazili. Musieliśmy przecież bronić honoru. I bronili. Nawet mocno. Wypadło jednak co innego — nieboszczyk, sąd i kryminał.

Brakło atoli najważniejszego — wstydu i poczucia winy.

Przeciętny awanturnik wiejsko - podmiejski i przedmieściowy, a z nim olbrzymi jeszcze procent młodzieży uważa pobicie i zmasakrowanie kogoś nie za podłość czy hańbę, lecz za pewnego rodzaju zaszczyt, za wyczyn bohaterski, za przygodę pełną najgłębszej emocji. Z pobitego śmieją się wszyscy — „gdzie twój honor, ciamajdo zatracona". A „ciamajda" o mało ze wstydu nie spłonie, bo przecież nie jest hańbą bić się, lecz dać się zbić. Więc płacze pobity, cierpiąc nie tyle na ciele, ile na honorze, a zwycięzca urasta do wymiarów bohatera, nosi głowę wysoko, dumny i honorny, chodzi w glorii podziwu i uznania.

Zrzadka tylko i nieśmiało odezwie się ktoś, że przecież bitka to najordynarniejsze świństwo i najzwyklejsze bandyctwo. Głos taki ginie jednak szybko w odmętach głębokiego niezrozumienia, błędnych założeń i nastawień.

Nad wsią wyrósł kiedyś i zajaśniał słonecznym blaskiem zbójnicki mit Janosików i Ondraszków. Od owych lat upłynęło wiele czasu, a mit ten w zdegenerowanej formie lśni dalej i wciąż kusi bujną, a niezdyscyplinowaną młodość ludzką czarującą aureolą honornej sławy. Niechęć do trudnych form wyżycia się i wyładowania potencjału młodości w pracach oświatowo - wychowawczych i kulturalnych, obojętność dla wszelkich nowatorskich metod pojmowania świata i jego zjawisk, a raczej lęk przed wysiłkiem, jakim za każdą odmianę zapłacić trzeba, trzyma pewien procent młodzieży wiejskiej i robotniczej na starych a wygodnych i łatwych szlakach oportunizmu, w pozycji biernej odnośnie pozytywnego postępu, a czynnej w stosunku do negacji i oporu.

Czasy okupacji i tłumny udział młodzieży w ruchu partyzanckim pozostają z zagadnieniem powyższym w najściślejszym związku. Na podstawie osobistych przeżyć i spostrzeżeń stwierdzić mogę, że dla niektórych żołnierzy oddziałów leśnych nie Polska była celem lecz właśnie pragnienie przygody, romantyczny splendor i honor, jakim emanowali ludzie z lasu.

Łatwość zdobycia honorowej sławy na awanturniczej ścieżce jest tak niepokojąca i wielka, a jej blask tak gorący i urzekający, że porywa wciąż i uwodzi wielkie zastępy najekspansywniejszej młodzieży. W tym tkwią powody komplikujące drogi rozwoju chłopskiego, że nie w górę ku trudnym ścieżkom etycznego postępu i kultury zdąża młodość ludzka, lecz ulegając nawykowo złudnym wołaniom starych mitów, idzie po linii najmniejszego oporu.

Jak wielki jest urok tego mitu i jak głęboki jego związek z młodością prostego człowieka świadczyć może najlepiej fakt, że tak potężny i wszechwładny autorytet — Kościół, bijąc weń bez przerwy, na przestrzeni wieków całych, taranem swych ziemskich i niebieskich akcesoriów, nie był w stanie zniszczyć go czy skruszyć. W sukurs Kościołowi przyszła szkoła, a później organizacje oświatowo wychowawcze i wprawdzie wspólnym wysiłkiem uzyskano pewne zdobycze, są one jednak bardzo dalekie od ideału, jeśli za niego przyjmiemy tylko szare życie wsi duńskiej czy szwajcarskiej.

Reasumując stwierdzić trzeba, że nie wcześniej wejdzie wieś nasza na właściwe i najkrótsze drogi rozwoju i odrodzenia, aż jej zasadnicza siła — młodzież nie sprostuje pojęć o honorze i nie przestawi ich w kierunku szlachetnego wyścigu ku dobru i pięknu.

Gdy ideałem honoru chłopskiego stanie się nie smutna sława mordobójców, lecz intensywne współzawodnictwo w pracy nad budową doskonałości dusz i umysłów w organizacjach oświatowo-wychowawczych, gospodarczych i kulturalnych, gdy szczytem pragnień tysięcy młodych zuchów stanie się nie nóż, bokser i browning, lecz książka, wtedy dopiero o przyszłość wsi, narodu i państwa możemy być spokojni.

Tadeusz Kajkowski

Modlitwa poległych

Z kadzideł nieba ołtarza,
wspartego o topól gotyk,
ćmią się gwiazd świece w lichtarzach,
jak słońca monstrancja złotych.
Aniol światełek desenie
w dni smutnych cieniu poległych
sypie na oczy jak ziemię
z ojczyzny ciszy odległej,
aby spać mogli spokojnie
w królestwie różanych kwiatów,
pięści nie widzieli, wojny,
zniszczenia i ruin świata.

Krwi plam ze stęchłych bandaży
nie zliżą wilcy orłowie.
Rój mrówek stoi na straży
i kamień czasu na grobie.

Polegli w bezruchu leżą
wsłuchani w psalmy obłoków.
W zwycięstwo modlitwy wierzą,
jak w szelest swych zgasłych kroków.
Więc nie chcą strzelać w pierś wroga,
którego się zbroi nie boją.
Nie mówiąc — modlą się do Boga
mądrzejsi już o śmierć swoją.

UNIWERSYTET LUDOWY CHRZESTNEGO SOLARZA W GACI, POWIAT PRZEWORSK

rozpoczyna jesienno-zimowy kurs dla młodzieży wiejskiej męskiej i żeńskiej w dniu 10 października. Od kandydatów wymagane są: ukończony wiek: u chłopców 20 lat, u dziewcząt 18, własnoręcznie napisany życiorys z wyszczególnieniem ukończonych klas szkoły pow. lub innej pracy samokształceniowej, oraz udziału w pracy społecznej względnie podziemnej podczas okupacji.

Do zgłoszenia winno być dołączone poświadczenie Koła Młodzieży, lub innej organizacji społecznej, której członkiem jest kandydat, stwierdzające prawdziwość danych w życiorysie i wyrażające opinię. W wypadku, gdy organizacja ma zamiar pomóc kandydatowi, potrzebne jest pisemne zobowiązanie z wymienieniem kwoty. Równocześnie należy wpłacić 200 zł tytułem opłaty wstępnej.

Zwracamy uwagę, że kurs jest koedukacyjny, o określonej ilości miejsc w internacie. Słuchacze ponoszą tylko koszta wyżywienia i oprania. Oprócz siennika, pościeli i rzeczy osobistych, pożądane jest przywieźć (kto ma): strój ludowy i instrument muzyczny.

Zgłoszenia i zapytania adresować: **Uniwersytet Ludowy Chrzestnego Solarza w Gaci, poczta Markowa koło Łańcuta.**

Najbliższa stacja kolejowa Rogoźno lub Przeworsk.

Termin zgłoszeń najpóźniej 30 września. Przyjęci otrzymają pisemne zawiadomienia.

Kierownictwo

Marian Dąbrowa

NAUCZYCIEL W ODMĘCIE WOJNY

Czy wojna obecnie po zakończeniu rzezi 1914 — 1920, jako sposób regulowania spraw międzyludzkich, jest możliwa?

Nie.

Czy istnieje możliwość pokojowego rozwiązania kwestii spornych pomiędzy narodami?

Tak.

Czy natura ludzka w swoim najgłębszym podłożu duchowym jest siedliskiem dobra czy zła?

Dobra.

Te trzy pytania i trzy odpowiedzi były zasadniczym wyznaniem wiary całej falangi młodych nauczycieli, którzy weszli w życie odrestaurowanego Państwa Polskiego po roku 1918. Skąd się to wzięło i jak to było możliwe, że ów na tak wysoki nastrojony diapazon program tak głęboko i ekskluzywnie zapuścił korzenie? Trzeba zdać sobie sprawę ze stanu i stopnia atmosfery wychowawczej naszych szkół średnich, iż ugruntowanie takich zasad pedagogicznych było **uzasadnione i jedynie uzasadnione.**

W umysłach nauczycieli i rozmarzonych duszach młodzieży powstało przekonanie, że światem — jego sprawami — rządzi jakaś kosmiczna czy poza kosmiczna ręka sprawiedliwości. Ona wyniosła na powierzchnię życia naszą państwowość, zduszoną przed półtora wiekiem, ona podciągnęła prawie ku górze szerokie rzesze ludowe — jeden krok ku całkowitej emancypacji. Nawiązanie łączności z marzeniami przeszłych pokoleń o własnej państwowości i przejęcie zasad o awansie społecznym warstw upośledzonych było emocjonalnym podłożem do uregulowania sprawy duchowego nastawienia przyszłych wychowawców.

Bestialstwo i okropności wojen 1914 — 1920 odchodziły w mrok przeszłości i natura ludzka odżegnując się od ich potwornego obrazu tym bardziej poddawała się nowym prądom, nowym programom. Co było treścią owych nowatorstw? Oto wszystko to, co było zaprzeczeniem dotychczasowości. Na miejsce upodlenia człowieka — głoszono jego szacunek. Na miejsce ucisku — sprawiedliwość. Zamiast krwawych wojen — zapanuje pokój wieczysty. Na miejsce ustawicznego pogotowia zbrojnego — rozbrojenie nie tylko fizyczne ale i moralne.

W ciepłych promieniach ligi narodów jako niezależnego i najwyższego narzędzia wymierzania sprawiedliwości międzypaństwowej dojrzewało przekonanie, że wojna regulująca w sposób brutalny pretensje terytorialne, gospodarcze czy ideologiczne — jest praktycznie niemożliwa. Każdy poszczególny człowiek postawiony wobec tego pytania miał tylko jedną i to tę właśnie odpowiedź. Rzecz jasna, że owoce wojny były niewspółmiernie małe w stosunku do cierpień ludzkości, ofiar i strat tej wojny. Marzenie ludzi o wykreśleniu wojny z życia uzyskało konkretną formę organizacyjną, stąd wzrósł powszechnie jego ciężar gatunkowy.

To samo tyczy się ludzkiej psychiki. Treść wojennych zdarzeń rozwiesza się na biegunowo przeciwnych zjawiskach. Każda wojna wydobywa na wierzch nieobjęte głębie bestialstwa człowieczego i ukazuje niewiarygodne bohaterstwo, dobroć i wzniosłość uczuć jednostek. Nic więc prostszego jak zarzucić na ową stronę ciemną ludzkiej duszy zasłonę, a dopuścić do głosu ową stronę piękną: dobrą i szlachetną. Zaczęto patrzeć na ową ludzką duszę jak na preparat przez powiększające szkło, rozdrabniać ją i mierzyć, ważyć i gatunkować i orzeczono, że „człowiek jest właściwie dobry" i człowiek dobry jest, ale zaginął w odmęcie skłóconych żywiołów. Słuszną jest przeto rzeczą wydostać z toni co szlachetne, rozdmuchać, wyhodować i oddać do rąk ster skołatanej nawy świata ziemskiego.

Życiową konsekwencją tego było, że do wojny nie byliśmy przygotowani wogóle, a przedewszystkim moralnie. Nie wierzyliśmy w możliwość wojny. Myśl poważną o niej uważaliśmy za coś monstrualnego, a pogadywanie, które się słyszało od czasu do czasu dawniej, za zdawkowe frazesy wypowiadane tylko dla zaokrąglenia logicznego objęcia całości pewnych zjawisk możliwych w dziedzinie dedukcyjnego wnioskowania, w świecie abstrakcji. Nauczyciel, który by otwarcie głosił, że obecny czas pokoju jest tylko przygotowaniem do nowej wojny — byłby uważany za coś anormalnego, a nauczyciel wskazujący wyraźnie z kim będzie wojna odpowiadałby za zdradę stanu. Stąd groźny pomruk zawieruchy w 1938 zupełnie nas zaskoczył, a pierwsze strzały, pierwsze naloty i pierwsze bomby we wrześniu 1939 zdruzgotały nas w pierwszym rzędzie moralnie.

Napastnik teutoński, którego praktyka rozboju sięga tysiącleci znał nas jako przedmiot do zdobycia zupełnie dobrze. Nasza struktura narodowościowa przesycona żywiołem obcym, nasza młodość polityczna oparta na awansie warstw świeżych historycznie, nasza słowiańska gadatliwość nie odróżniająca swoich od obcych, nasz liberalizm prawno-publiczny dozwalający obcym wgląd we wszystko — ułatwiały poznanie nas do rdzenia. Z tego powodu Niemcy doskonale wiedzieli, że jednym z najsilniej patriotycznie nastrojonych czynników w Państwie Polskim jest nauczyciel polski. Dla tego cała wściekłość pierwszego impetu cywilizowanych barbarzyńców germańskiego wydania zwróciła się przeciwko niemu.

Obraz tych spraw od razu z miejsca zarysował się potwornie. Wkraczające oddziały wojskowe niemieckich sił zbrojnych w granice naszego państwa po stwierdzeniu, że dany osobnik jest nauczycielem, **zastrzelały** go na miejscu. Zginęło w ten sposób setki nauczycieli. Musiały być przed tym ścisłe a powszechne instrukcje, bo stopień nasilenia zjawiska wyraźnie na to wskazuje. Ta sprawa nie miała charakteru odruchu w zamęcie krwawych zmagań: był to wstęp do akcji zakrojonej na szeroką skalę, jak wskazały późniejsze zdarzenia. Nauczyciel spotkany w drodze, wyciągnięty z domu z dokumentami zawodowymi lub bez — tymbardziej — marł zastrzelony, rozerwany granatem czy przebity bagnetem. Żadna szerokość ani długość geograficzna Polski nie stanowiły pod tym względem wyjątku: tak było w Karpatach, tak pod Łodzią i tak na Pomorzu. Ten odcinek drogi naszej martyrologii jest równie okropny, jak i zdarzenia, które nastąpiły później.

Po tragicznych dniach wrześniowych, podczas których runęły zmiażdżone przeważającymi siłami wiązania naszego państwa, nastała makabryczna noc teutońskiej okupacji. I tu podczas tego przygniecionego butem germańskiego zdobywcy czasu zachodzą wszelkie możliwe sposoby terroru nauczyciela. Najpierw godzi w nas perfidny krok rutynowanego zbója. W części zajętych przez się obszarów organizuje szkolnictwo powszechne wykastrowane (sit venia verbo!) z pewnych przedmiotów, niebezpiecznych zdaniem okupanta. Nauczycielstwo rozproszone pierwszym uderzeniem skrzydła wojny ściąga na porzucone placówki, obejmuje stanowiska i podejmuje pracę. Ale to miał tylko na celu pruski zbir — zbiórkę. Nauczycielstwo rozproszone i znajdujące się poza miejscem wykonywania swojej pracy było nieuchwytne — przy pracy natomiast samo wchodziło w ręce gestapo.

Na wiosnę 1940 roku nastąpił kres szkół i nauczycieli na obszarze Warty świeżo przyłączonym do Rzeszy. Zastosowano wszelkie sposoby skuteczne tak znane potem: branki z domu w nocy, branki z domu w dzień. Urządzane zebrania powiatowe rzekomo dla ważnych narad w sprawach szkolnych kończyły się tym, że gestapo i SS-y obstawiali budynek, wybierano mężczyzn, ładowano na samochody i wywożono w niewiadomym kierunku. Część rozstrzelano w ustronnych zamaskowanych miejscach, część zamykano w więzieniach, część wywożono do obozów śmierci. Sprytniejsi ratowali się ucieczką na teren tak zw. Generalnej Gubernii, bardzo nieliczny porocent wsiąkał w niemieckie biura pracy jako tak zw. „bauschreiberzy". Zresztą na bardzo krótko, bo ich tam likwidowano albo musieli uciekać. Zaludniły się nauczycielami niemieckie obozy koncentracyjne w Mauthausen, w Dachau, w Oranienburgu, w Oświęcimiu. Ożyła krwią straszliwa geografia nieznanych, dalekich małoznacznych miejsc na ziemi: na obszarze niemieckiego „Lebensraumu". Przerażliwie szybko od daty wzięcia nadchodziła sucha, urzędowa wiadomość, że „zmarł na zapalenie płuc", albo „zmarł na serce" po 2 — 3 miesiącach (szczególnie w Mauthausen). Przerażająco uboga okazała się pomysłowość kancelarii w wynajdywaniu przyczyn zgonów czy też wychodziła na jaw prostacka bezceremonialność panów życia i śmierci.

Oprócz grozy śmierci natychmiastowej wiszącej nad głową nauczyciela jak ów banalny miecz Damoklesa, spotykały go wszelkiego rodzaju szykany, w wynajdywaniu których tak celował pruski „amter". Niemożność uzyskania gdziekolwiek przepustki, obowiązek brania udziału w komitetach gminnych kontyngentowych czy dostarczania robotnika rolnego, konieczność nakłaniania opornych do wyjazdu, obarczanie odpowiedzialnością wszelkich zarządzeń w ramach gmin lub powiatów — ta tragicznie śliska ścieżka — na której można było zdobyć epitet niemieckiego służalca lub zarzut sabotażu. I jedno i drugie groziło nieobliczalnymi konsekwencjami, gdzie kara śmierci była karą porządkową. „Niemcy płacą daninę krwi, Polacy muszą dać daninę pracy" — oto było ulubione zdanie pruskich starostów w Gen. Gub. w myśl którego nauczycielom wyznaczano rolę naganiaczy do owej daniny pracy.

Jak głęboko nas się bano i nienawidzono świadczą o tym nie tylko tajne okólniki przełożonych żandarmerii i gestapo o zwracaniu specjalnej uwagi na nauczycieli i o otoczeniu nauczycieli specjalną „opieką", ale i głośne powiedzenie pewnego starosty do nauczyciela, który prosił o udzielenie przepustki na przejazd granicy dla wzięcia udziału w pogrzebie ojca. Urzędnik ów powiedział wówczas, że „psom i nauczycielom wstęp do Rzeszy wzbroniony". Autentyczne i dosłowne.

Miarą wartości człowieka nie jest ani jego pochodzenie, ani wykształcenie, ani — tymbardziej — majątek. Jedyną miarą wartości człowieka jest jego prężność duchowa, jaką zachowa w wypadku katastrofy czy nieszczęścia. Nauczycielstwo nie uległo psychozie zepsucia jaka płynęła z warunków wojny totalnej. Jakże mało nauczycieli dało się unieść błyskotliwej potencji pruskiej! I nawet nie wiem, czy ich wogóle nazwać nauczycielami polskimi, kiedy zapatrzeni w zakrętas swastyki przeszli do obozu morderców, aby się liczyć ich towarzyszami ramię w ramię. Jakże mało chwyciło się mniej godnych środków zarobkowania. W tych czasach rozprzężenia się wszelkich wiązań społecznych — nauczycielstwo zachowało maximum solidarności. W tych czasach robienia zawrotnych karier materialnych za jednym wyjazdem — nauczycielstwo jęło się wyniszczającej, bladej, beznadziejnej pracy w okaleczałych szkołach. Za sto pięćdziesiąt złotych miesięcznie wówczas, kiedy na wolnym rynku metr pszenicy kosztował 4 tysiące złotych!

Powiedziałem: beznadziejnej. Czyżby?

Kiedy człowiek siedział w chłodnej klasie głodny, mijał powoli, długi korowód ponurych dni, z których każdy nadchodził napęczniały wiadomościami o olśniewających sukcesach niemieckiej armii. Dusza kurczyła się w człowieku z przerażenia: gdzie będzie kres temu pochodowi? Czy będzie wogóle? Człowiek był tak mały! Człowiek był tak przyciśnięty! A jednak pod bokiem egstapo, żandarmerii, sonderdienstu, policji i szpicli — przemycało się przy czytance — historię, przy przyrodzie — geografię, a potem nauczyciel szedł do zwykłej chłopskiej chałupy i męczył z dziećmi zakazane — komplet gimnazjalny lub naukę historii i geografii wyrzuconych przez Niemców ze szkoły oficjalnej. Bowiem wbrew oszałamiającym enuncjacjom gadzinówek o nieodwracalności karty dziejów, jaką stworzyły Niemcy Hitlera — wierzono wbrew nadziei. Contra spem — spero. Już nie tylko rozum, ale jakaś irracjonalna siła w człowieku podszeptywały ustawicznie, że „czasy pogardy" nie będą czasami ostatnimi. Więc gra warta była głowy.

Osobny rozdział należy się nauczycielskiemu udziałowi w walce podziemnej. I tu dochodzimy do sedna rzeczy, której się istotnie słusznie obawiali Niemcy. Nauczyciel był naprawdę tym spiritus movens odporu w swoim środowisku. Znają go wszelkie formy walki przeciwokupanckiej: był to kolporter gazetek, niejednokrotnie ich redaktor, bojowiec, dowódca, partyzant, ofiara czystek i pacyfikacji wsi. Ilościowy wkład jak i jakościowy jest tak olbrzymi, że nauczycielstwo może z dumą mówić o swoim obywatelskim i męskim stanowisku w czasie, kiedy walka miała charakter straceńczego przedsięwzięcia, kiedy masakry następowały po masakrach, rozstrzeliwano całymi grupami i palono całe osiedla ludzkie. Nie jest to chwalba, ani spalanie pod adresem swoich bliskich kadzidlanych dymów — jest to spokojny rejestr wypadków dokonany wtedy, kiedy już możność zaistniała, a kiedy jeszcze poszczególne fragmenty krwawej epopei nie zasnuł piasek zapomnienia.

Nie była to tak prosta sprawa, jakby się na pozór zdawało. W psychice naszej trzeba było dokonać przebudowy stopni hierarchicznych wartościowania istoty dwunożnej zwanej człowiekiem w druzgocąco krótkim czasie.

Człowiek pięknych zasad pedagogicznych — brat zza granic i kordonów — człowiek Clapareda, Deweya, Hessena, Kerschensteinera — nie wytrzymał próby życia, rozwiał się gdzieś w przestrzeni nieokreślonej. Znikł czy schował się. Na jego miejsce przyszedł osobnik z trupią czaszką na hełmie okrywającym jego głowę, w ubraniu ściśle określonym co do kroju i barwy, uzbrojony od stóp po zęby. Jego fachem był mord dla mordu i mord dla zysku. Trzeba było złamać w sobie odruchową kwalifikację kształtów ludzkich na człowieka, a zbudować na wroga i niewroga. Trzeba było wykrzesać z siebie tyle moralnej siły, żeby osobnikowi o ludzkich kształtach przystawić pistolet do głowy i pozbawić życia. To musiał zrobić nauczyciel. To musiał zrobić wychowawca. Ale usprawiedliwia ów czyn ta olbrzymia stawka w grze: zabijesz lub będziesz zabity — instynkt zachowawczy i bestialstwo przeciwnika.

Na tle tych spraw wyłuszczonych uprzednio będzie już tylko marginesem kwestia stanu materialnego nauczycieli podczas wojny. Graniczyłoby z banałem sprawę tę szeroko rozwijać, ale byłoby krzywdą dla obrazu całości to zagadnienie pominąć. Przed wybuchem wojny uposażenie nauczycieli było raczej skromne. Pensje grube, pensje dygnitarskie były gdzieś ponad nim. Ale nauczycielskie 150 zł. na tle spauperyzowanej wsi rozdmuchane przez demagogię w „urzędnicze kokosy" urastały do poziomu legendarnych skarbów Midasa i były solą w oku bezrobotnego czy małorolnego. Odbijało się to przede wszystkim na nauczycielu, bo u niego ludzie widzieli odrobinę tego, co nazywali dostatkiem.

Jeśli do tego dodać rzecz jedną — angażowanie się nauczycieli po stronie pewnych niepopularnych zamierzeń politycznych, to będziemy mieli obraz tych sił, które w konsekwencji tuż przed wojną uczyniły z nauczyciela osobę raczej niepopularną w swoim środowisku. I ono w czasie tej krwawej zawieruchy uznało za stosowne na nauczycielu się „odegrać". To było pierwsze stadium, stadium impulsywnych rozgrywek, kiedy nauczyciel — tak napiętnowany i w przeświadczeniu otoczenia wobec tych gigantycznych zmagań niepotrzebny — głodował najzwyczajniej i naprawdę. Lata późniejsze przyniosły w tym względzie zmianę cokolwiek na lepsze.

Pomijam tu celowo te połacie kraju, gdzie ludność przez jakąś posępną zachłanność mimo świtnej sytuacji materialnej żałowała nauczycielowi każdego kawałka chleba i jeszcze swoje stanowisko popierała takim np. argumentem: „pensje mają, kartki mają, kontygent dla nich dajemy, a słabo uczą". Jest to ciemna sprawa zarówno w źródle, z jakiego się to narodziło, w przebiegu drogi, jaką przebyło, jak i w konsekwencjach, które czekają.

Na zakończenie należy się wzmianka zagadnieniu stosunków prawno - służbowych nauczyciela. Z konieczności rzeczy będzie ta sprawa tyczyć się tylko obszaru t. zw. General-Gouvernement. Na innych bowiem ziemiach Rzeczypospolitej problem ten nie istniał. Tam polityczna likwidacja państwowości i narodu polskiego pociągnęła za sobą fizyczną likwidację nauczyciela i zamknięcie szkół. Dzieci, które zostały, tworzyły siłę roboczą. Budynki pomieściły napływowe dzieci niemieckie.

Rozporządzenia i zarządzenia władz niemieckich w sprawach związania korpusu nauczycielskiego z ghettem polskim, którym była tak osobliwa Generalna Gubernia, w sprawach zaopatrzenia i ubezpieczenia — wszystko to, co się składa na stan prawny stanowiska nauczyciela, a co oficjalnie pisano i drukowano na temat nauczyciela — było fikcją. Nad wszystkim górowały okrutne prawa wojny, trzymało żelazną pięść gestapo, a wielostronny nurt życia nauczycielskiego (zamaskowani oficerowie, praca podziemna, tajne nauczanie, nielegalny handel) przyczyniał się do zastraszającego kruszenia szeregów nauczycieli.

Nie jest celem tego publicystycznego szkicu szczegółowe rozpatrywanie niemieckich rozporządzeń w sprawach nauczycieli i szkoły. To zrobią prawnicy mając przed oczyma teksty niemieckich „amtsblattów". Nam chodzi jedynie o te szczeble, po których musiała przejść dusza nauczycielska urobiona na pięknoducha w okresie początkowym, a zmuszona przeżywać osobisty i innych koszmar rzeczywistości. W całokształcie zagadnienia jest mniej ważne, a wspomina się je tylko przez ścisłość kronikarską.

Działania wojenne zostały skończone. Blask teutońskich sztandarów zwycięstwa padł w błoto. Kraj nasz leży w niespotykanej w dziejach swoich ruinie. Wśród tych ruin wespół z innymi stanęły do pracy zdziesiątkowane szeregi ocalałych resztek nauczycieli: nieliczne, osłabione, zdeptane okrucieństwem niemieckiego panowania.

Zygmunt Kałużyński

Czy nowe drogi prasy ludowej?

Konkurs tygodnika „Wieś": (którego wyniki wkrótce będą u nas omówione), „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś" (Nr 5 i 7), miał sens znacznie szerszy aniżeli ten, jaki się zawierał w jego tytule. Z tytułu bowiem wynikałoby, że był to rodzaj ankiety dla pisarzy, którzy pragną zorientować się w nastrojach, nastawieniach i potrzebach kulturalnych wsi, by potem dostarczyć jej takiej beletrystyki, jakiej ona pragnie. Tymczasem jest oczywiste, że powstanie takiej ludowej powieści współczesnej nie jest zależne od konkursu czy wywiadu, a od możliwości twórczych naszych literatów chłopskich i może owo „zamówienie społeczne", wyrażone w wynikach konkursu, pozostanie niespełnione... Nasz konkurs to jakby wywoływanie duchów; pragniemy stworzyć wszystkie warunki, by powstało nasze chłopskie arcydzieło, chcemy zapewnić pisarzom opiekę, wykształcenie, chcemy wreszcie dać im dokładne, nieomal cyfrowe zamówienie, — robimy wszystko, by im ułatwić zadanie — i, choć z nadzieją w sercu, musimy być przygotowani na to, że marzony utwór nie da się wyczarować...

Ale takby było w wypadku, gdybyśmy po konkursie spodziewali się ściśle tyle, ile zawiera pytanie, zawarte w jego tytule. My jednak spodziewaliśmy się znacznie więcej. I mieliśmy rację; materiały dostarczone na konkurs dały nam odpowiedź na zagadnienie znacznie szersze: co chce czytać wieś, jak chce czytać, i jakie są główne jej współczesne problemy wołające o pióro pisarza, — już nie tylko powieściopisarza, ale publicysty i dziennikarza chłopskiego. Jest to nie tylko odpowiedź na pytanie, jakiej powieści chce dzisiejsze pokolenie chłopskie, ale i jakiego chce pisma. Marzenie o idealnej powieści łączy się tu z marzeniem o doskonałym czasopiśmie ludowym.

ROZUMOWA OCENA LUDOWEJ PUBLICYSTYKI

Wielu z odpowiadających na naszą ankietę mówiąc o powieści i czytelnictwie, ludowym, zahacza o problem prasy ludowej. Chociażby dlatego, że od powieści współczesnej wymagamy obrazu czasów, w których żyjemy, przemian zachodzących w społeczeństwie wiejskim. Będziemy więc posługiwali się jakimiś przykładami, — a dotychczas mamy przykładów aktualnej powieści chłopskiej nader niewiele. (Konkurs rozpisany był przed ukazaniem się Kurka „Janosika", Olchy „Nowej Naprawy" i Piętaka „Frontu nad Wisłą").

Z konieczności więc każdy, kto pisze i mówi o odbiciu współczesności ludowej w piśmiennictwie powoła się na pisma, które są tej współczesności odbiciem; padną przykłady, jako ujemnego lub dodatniego ujęcia — i „Chłopskiej drogi", i „Wici", i może „Wsi" i wielu innych pism.

Spróbujmy dzisiaj, zanim odpowiedzi na konkurs będą metodycznie we „Wsi" omówione, dać przedwstępną, próbną odpowiedź na główne pytanie naszej ankiety przeniesione na teren — prasy ludowej. Pytanie tak wygląda: „Jak oceniamy, po roku działalności prasowej, u kresu roku 46-go, rezultaty naszej ludowej publicystyki?"

DOKŁADNE OKREŚLENIE ZAGADNIENIA

Ale pism ludowych jest już dzisiaj tak wiele, i rozpatrywać je należałoby pod tak rozmaitymi kątami widzenia, że na razie ograniczymy się do najbardziej nas interesującej części zagadnienia. Oto najważniejsze pozycje współczesnej prasy ludowej:

Dzienniki: Dziennik Ludowy, Gazeta Ludowa.

Tygodniki: Zielony Sztandar, Chłopski Sztandar, Chłopi, Wici, Wieś, Chłopska Gospodarka, Piast, Chłopska Droga, Polska Ludowa, Chłopskie Życie Gospodarcze, Chłopski Świat..

Miesięczniki: Wieś i państwo (wznowienie), Młoda myśl ludowa.

Podział ten odpowiada w przybliżeniu stanowi przedwojennemu, gdy również lwią część prasy dla wsi obejmowały pisma tygodniowe. Wciąż smutny dowód zaniedbania transportowego, kolportażowego i czytelniczego: wciąż nie stać nas na chłopski dziennik, — bo dwie próby tego typu („Dziennik Ludowy" i „Gazeta Ludowa") uznać trzeba za nieudane; są to pisma na wieś nie docierające, a czytane w mieście ze względu na polityczne punkty przez nie reprezentowane. Z tygodników wydzielimy „Wici" jako specyficzne pismo grupy młodzieżowej, o swoistej ideologii; problem „Wici", „Chłopskiego Świata", „Młodej myśli ludowej", stanowi oddzielne zagadnienie pedagogiczne i powinien być osobno traktowany. Podobnie jest z „Chłopską Gospodarką", która znowu jest pismem techniczno-rolniczym. „Piast" i „Polska Ludowa", to prowincjonalne organy partii politycznej (PSL), możemy je więc także na razie oddzielić, podobnie jak „Chłopską Drogę", pismo polityczne, więc o specjalnych zadaniach, wydawane przez PPR.

Skupmy więc uwagę na trzech czołowych tygodnikach, z których każdy reprezentuje centralną organizację o ogólnopolskim znaczeniu: „Zielony Sztandar" (Naczelny organ Stronnictwa Ludowego), „Chłopski Sztandar" (Naczelny organ PSL), i „Chłopi" (Naczelny organ Związku Samopomocy Chł.). Mamy tu do czynienia z trzema sztandarowymi pismami, przy tym wszystkie trzy spełniają podobną rolę, reprezentują podobny typ i podobnie są zorganizowane (tygodnik o ośmiu stronach druku).

PODSTAWY OCENY

Musimy następnie ustalić jakimi przesłankami będziemy się kierować w ocenie tych trzech pism. Nie możemy np. uzależniać naszego sądu od oceny słuszności politycznych kierunków, które wyrażają, bo w ten sposób nie wydamy sądu o poziomie prasy ludowej, a tylko samowolnie stwierdzimy na podstawie naszych politycznych przekonań, że to pismo jest najlepsze, które zgodne jest z naszą przynależnością partyjną. Nie możemy się także kierować poziomem literackim, bo żadne z tych pism nie ma ambicji w tym kierunku (jak dotąd monopol literacki ma na terenie chłopskim „Wieś") Oczywiście, rozsądek polityczny i staranność literacka — to będą czynniki, które uwzględnimy w naszej ocenie, jednak nie możemy uznać ich za główne motywy.

Ponieważ nastawieni jesteśmy ciągle na poszukiwanie rozwiązań, które wytyczą przyszłość naszej pracy kulturalnej, więc głównym naszym pytaniem musi być takie: „Co nowego wnoszą dzisiejsze pisma ludowe, o ile posuwają naprzód sprawy prasy chłopskiej, czy możemy wyciągnąć z ich pracy dotychczasowej wnioski do naśladowania na przyszłość?" „Czy pisma te odpowiadają nowej sytuacji na wsi, czy przyczyniają się do rozwinięcia jej?" „Czy oddają wiernie charakter organizacji, której są organem czy dają słuszny i przekonywujący obraz jej roli?"

TYP PISMA POLITYCZNEGO

Łatwo zauważyć, że „Zielony Sztandar" i „Chłopski Sztandar" są pismami jednego typu w przeciwieństwie do „Chłopów". Nie jest to typ nowy. Pmiętamy z „Listów ze wsi" ten rozdział, w którym Orkan opisuje bezradność chłopa wobec agitacji politycznej okresu wczesnego sejmowładztwa. Agent wtyka mu w rękę „Przyjaciela ludu": „Pamiętaj, że bronić twego interesu potrafią tylko bracia twoi chłopi, którzy zamożnością i pracą wybili się na wsi i dziś sięgają po władzę w państwie!" Inny woła: „Czytaj Ludowca! Zbawienie wsi jest przy religii!", jeszcze inny: „Tylko Nasza Wiara, organ ziemian, potrafi bronić chłopskich interesów wobec robotników i kapitalistów!" Pośród dziesiątka tytułów i haseł chłop staje wreszcie bezradny i zdezorientowany. Dziś sytuacja polityczna znacznie jest prostsza i zrozumialsza dla chłopa, niż w czasach opisywanych przez Orkana, — pozostała jednak, niestety, nieświetna tradycja pisma politycznego. Pismo takie ma za zadanie nie wprowadzać chłopa w nowe problemy, nie rozwijać go na tle nowej sytuacji a utrzymać go, utwierdzić w dotychczasowych przekonaniach.

Czytelnik pisma politycznego nie ma zamiaru zmieniać swoich poglądów; dobiera on sobie organ, odpowiadający jego nastawieniu i wtedy jest zadowolony, gdy jego organ nie odbiega od ustalonego a miłego mu założenia. Stąd płynie, że pismo polityczne nie ma wartości „przyszłościowych", że walor jego mija w ciągu paru dni; często to, co piszemy dziś, za miesiąc już nie tylko będzie nieaktualne, ale wprost fałszywe! Spróbujmy przeglądać pisma polityczne z okresu 1921—26; jak niewiele dokonały one dla kultury, jak są już martwe, jak nawet jako dokumenty historyczne nie przedstawiają interesu dla czytelnika następnego pokolenia...

„ZIELONY SZTANDAR" I „CHŁOPSKI SZTANDAR"

Obydwa nasze główne pisma polityczne pod względem formy i stylu stanowią pozostałość owych minionych czasów... Trudno powiedzieć, że organy te przyczyniają się do rozwoju i postępu wsi. Czytelnik z góry wie, co w nich znajdzie, i czyta je właśnie po to, by swoje znaleźć. Konieczny mu jest ten cotygodniowy zastrzyk dla utrzymania się przy poglądach i pismo prowadzone jest właśnie w ten sposób, by to ograniczone zadanie spełnić. Pismo takie nie podaje faktów, a tylko ich stronnicze oświetlenie. Każdy artykuł mówi: „Zrobiliśmy tyle a tyle, i jesteśmy za to warci uznania. Domagamy się władzy, na jaką zasłużyliśmy. Jest nas coraz więcej, i my mamy rację". Pismo polityczne nie zmierza do konkretu, bo nie ma ono zadań informacyjnych; nie pragnie ono UCZYĆ, a tylko PODTRZYMYWAĆ PRZEKONANIA, które są już ustalone. To też operuje ono rzadziej faktem, częściej frazesem; występują tu zwroty, które już od dawna wyświechtały się, wytarły, straciły znaczenie, a jednak służą jeszcze podtrzymaniu ducha partyjnego.

Pismo polityczne ma właściwie do spełnienia rolę pozaliteracką, pozakulturalną i może ją spełniać nieźle przy niskiej, wartości literackiej. Mamy przykład tego po „Zielonym Sztandarze", który jest, trzeba to powiedzieć, jednym z najmniej starannie redagowanych pism w Polsce. W żadnym innym organie nie znajdziemy tylu długich i nieczytelnych referatów, pełnych wytartych haseł dziennikarskich i wiecowych. Większość miejsca poświęca „Zielony Sztandar" banalnym przemówieniom, jakkolwiek organ Stronnictwa Ludowego ma wszelkie szanse, by stać się wyrazicielem nowego politycznego ruchu ubogiej masy chłopskiej.

Nieraz nasuwa się pytanie, gdy przerzucamy karty tego pisma, — gdzie jest poeta Ozga-Michalski, prezes Janusz, minister Kowalski, minister Putek, woj. Dybowski, ksiądz Borowiec — mówcy i pisarze ludowi, członkowie tego stronnictwa! Występują oni niekiedy na łamach swojego pisma, ale jakby gościnnie, przygodnie z przygotowanymi referatami, — zamiast występować w ramach stale i żywo prowadzonej redakcji.

Nieco lepiej, ale w podobnie lichy sposób prowadzony jest „Chłopski Sztandar" pod redakcją Jerzego Świrskiego, organ PSL. I tu mamy nadmiar długich i banalnych artykułów, pełnych wyświechtanych komunałów, powtarzających to samo w kółko, sprawozdań i niezwiązanych z aktualnością rozpraw o chłopskiej walce, chłopskiej orientacji itp. Wydaje się niekiedy — choć to na paradoks wygląda — jakby redaktorzy pism politycznych nie wiedzieli, co się na świecie dzieje i nie próbowali z tego zdać sobie sprawy, a tylko powtarzali z zapamiętaniem te same oklepane i pozbawione znaczenia zdania. Pikantności dodaje „Chłopskiemu Sztandarowi" fakt, że jest to pismo o skłonnościach opozycyjnych, więc podaje czasem dane w tendencyjnym naświetleniu (np. artykuł R. o reformie rolnej), przez co pokazuje znany już problem od nowej strony. W sumie jednak jest to pismo równie antykulturalne, co „Zielony Sztandar".

Trzeba jednak obiektywnie przyznać, że poziom tych pism w sumie jest wyższy niż poziom analogicznych pism politycznych chłopskich przed wojną. Przede wszystkim, występują tu nowe ambicje, już nie zaściankowe i prowincjonalne, jak wówczas, a ogólnopolskie. Następnie, poświęcają te pisma nieco miejsca problemom kultury, odbudowy wsi itp., zamieszczając od czasu do czasu ciekawe artykuły specjalne.

„CHŁOPI"

Na tle analizy tych dwóch organów politycznych, tym dobitniej ukazuje się korzystne wrażenie, jakie robi tygodnik „Chłopi", pod redakcją Antoniego Olchy, dawnego redaktora „Wsi" — Jej Pieśni". „Chłopi" to organ największej w historii organizacji zawodowej chłopskiej — Związku Samopomocy. Na tle tej zupełnie nowej organizacji, „Chłopi" stanowią rodzaj pisma nieznany dotychczas, zupełnie na terenie wsi naszej nowy, i, jak się okaże, rodzaj nowoczesny, zbliżający się do podobnego typu pism w Europie i ZSRR, a nawet więcej: rodzaj, do którego należy przyszłość.

Zastanówmy się teraz, jakie są cechy tego tygodnika, i na czym polega jego nowość.

Wszystko w „Chłopach" widziane jest przez pryzmat organizacji: ZSCh. A ideologia tej organizacji, to CHŁOPSKA PRACA. To jest główny temat pisma, powracający bez przerwy we wszystkich formach. Ale w przeciwieństwie do pism politycznych, jest ten temat traktowany z konkretnością, bez jednego frazesu. Wygląda to czasem na oschłość, brak ideologii; ale tak jest tylko pozornie. Ideologia pisma jest wyraźna i stale obecna, choć niewidoczna, niewypowiadana wprost. Nie wyraża się ona referatem czy hasłami, jak w piśmie politycznym, a przez konkretną wymowę faktów. Prawie każdy artykuł w „Chłopach" zaczyna się cyfrą: „Obsadziliśmy na Zachodzie tyle a tyle gospodarstw; ale oto ile jeszcze zostało, — co z tego wynika?" Fakt ma potężną siłę działania przekonującego. Informacja o tylu a tylu tonach nasion warzywnych sprowadzonych z ZSRR, z konkretnym podaniem gdzie i kiedy będzie się je rozdzielać, większą ma siłę sugestii niż niekończące się prelekcje o współpracy radziecko-polskiej. Tak jest w wielu wypadkach: hasło, konkluzja ideologiczna następuje dopiero po przytoczeniu opisu zdarzenia; jest to najskuteczniejszy rodzaj propagandy.

Z tym wszystkim „Chłopi" nie są pismem nudnym, jakby się mogło wydawać i słyszy się o wypadkach, że jest czytane w mieście, aby się dowiedzieć, „co chłopi robią". Przyczynia się do tego kompozycja każdego numeru, który składa się z artykułu wstępnego (jednak na temat konkretny: „Chcemy znać całą prawdę o Zachodzie" itp.) z działu wiadomości politycznych, ułożonych pod kątem widzenia zainteresowań chłopa i organizacji („Posłowie ZSCh występują na KRN"), a nie przez chaotyczne zestawienie depesz, jak to robią pisma polityczne. Ideologiczny artykulik na 1-szej stronie ukazuje sprawy ogólne widziane z punktu widzenia interesów chłopskich. („Odbudowa upaństwowionego przemysłu utrwala zdobycze chłopskie"). Główne fakty podawane przez pismo grupują się w dwóch działach: „Organizacja — praca — walka ZSCh" i „Gospodarstwo dziś i jutro".

Tu znajdujemy dziesiątki drobnych a konkretnych wiadomości, istotnie dających obraz pracy organizacyjnej wsi („Stan Puszczy Białowieskiej obecnie", „Przydział warzyw z UNRRA", „Opieka nad parkami w resztówkach", „Budulec dla wsi", „Powszechna oświata rolnicza"). Ważne fakty przebudowy wsi możemy znaleźć tylko w „Chłopach" nieprzedrukowane lub zaniedbane przez inne pisma; tak np. było ze „Zrzeszeniem Spółdzielni SCh", tworem organizacyjno-wytwórczym nowym u nas, czy z problemem lasów samorządowych i gminnych, o które wytworzył się rodzaj sporu między chłopem a państwem, KONKURS NA LIST ZE WSI przyniósł materiały o wartości socjologicznej, np. odznaczony pierwszą nagrodą list J. Czuba „Od ruin i popiołów do wsi wzorowej" — chłopskie głosy o powojennej odbudowie.

Są odcinki, na których redakcja „Chłopów" próbuje pracy pionierskiej, bez przykładów w dotychczasowej publicystyce ludowej. Tak było ze specjalnym numerem-almanachem, poświęconym sprawie zdrowia na wsi, tak jest z tematem sportu na wsi, wreszcie z próbą stworzenia kolumny dziecięcej, gazetki dla współczesnego najmłodszego chłopa...

Za poważny brak tygodnika „Chłopi" uznać trzeba niedostatek materiału publicystycznego i literackiego. I w tym zresztą dziale ma pismo pracowników; jako ideolodzy występują: A. Olcha i St. Cieślak, drukowano powieść Junoszy-Gzowskiego „Diabeł w Anielowie", szkice historyczne „Od Gerona do Hitlera" nowelę „Irena" Mortona, prace J. Pogana i paru pisarzy chłopskich.

Na dłuższy jednak dystans, gdy pismo będzie się rozwijało i zajmowało mocniejszą pozycję, brak ten będzie coraz wyraźniejszy. Na razie stwierdzić trzeba, że „Chłopi", stanowią istotnie nowy typ tygodnika relacjonującego, bieżącą pracę chłopską; nie znajdujemy dla tego pisma odpowiednika w przedwojennej publicystyce ludowej.

Tu dochodzimy do sedna. „Chłopi", to nie tylko produkt świeżej myśli redakcyjnej, ale także NOWYCH PODSTAW ORGANIZACYJNYCH I RZECZOWYCH. Pismo takie powstać mogło właśnie na tle tak innego, a tak specyficznego Związku, jakim jest ZSCh; zarodki nowej organizacji przyszłości, istniejące w Związku, ujawniają się niejako w sposób konieczny — w jego organie.

OSTATNI 37 (65) NR „WSI"

z dnia 22 września 1946 r. zawierał:

Jan Al. Król — **Na wiejskiej poczcie;** Leonard Sobierajski — **Akcja: „Przemysł dla wsi";** Witold Zalewski — **Powrót Piotra;** Adam Polańczyk — **Złota międzynarodówka działa;** Leszek Goliński — **Łużycom wolność;** Leon Sobociński — **Kaszubszczyzna;** Zdzisław Skwarczyński — **Łużyce wołają;** Zygmunt Sierp — **Niepokój o ciebie — Księga wiosny;** Jacek Maria Orlik — **W chacie;** Zygmunt Kałużyński — **Elementy pieśni ludowej w Frasika;** Leonard Sobierajski — **Krajobraz wiejski w poezji Frasika;** Stefan Lichański — **Odrodzenie sielanki;** Antoni Piper — **Oblężenie Helu;** 3 ilustracje; 8 stron.

Stefan Lichański

Poeci śląscy

Arkusz śląski 1. Jan Baranowicz: Wiersze.

Arkusz 2. Aleksander Widera: Wiersze. Wydawnictwo Z. Z. L. P. Oddział Śląski, 1946.

Zbyszko Bednorz: Strofy serdeczne, Katowice MCMXLVI, wydał Jan z Bogumina Kuglin. Druk prywatny, niesprzedażny, str. 24.

Śląski Oddział Związku Zawodowego Literatów podjął ciekawą i pożyteczną imprezę przystępując do wydawania „Arkuszy śląskich", które ukazują się w odstępach miesięcznych w objętości jednego arkusza druku i mają na celu popularyzację twórczości autorów działających na tamtejszym terenie. „Arkusze" wydawane są skromnie ale estetycznie; przynoszą one oprócz materiału literackiego krótki życiorys i najważniejsze dane o twórczości danego pisarza oraz jego rysunkowy portrecik. Dotychczas ukazały się dwa arkusze, z których pierwszy przynosi wiersze Jana Baranowicza, drugi Aleksandra Widery.

Jan Baranowicz nie należy do poetów, o których wiele i głośno rozprawia się w światku literackim. Autor „Pieśni o jaworowym krzaku" nie zarabia sobie na popularność ani epigońskim awangardyzmem, który przejadł się już nawet najcierpliwszym czytelnikom czasopism literackich i tomików wierszy, ani też odrabianiem t. zw. „zamówienia społecznego", która to czynność polega na ubieraniu w „mowę wiązaną" rozmaitych hasełek.

Baranowicz kroczy własną drogą i realizuje własny program poetycki. Jest to poeta, który nie sili się na przedsięwzięcia artystyczne przerastające jego możliwości, ale pozostając w kręgu interesujących go zagadnień i faktów umie osiągać efekty zgoła nieprzeciętne.

Arkusz Baranowicza jest w pewnym sensie „pacyfistyczny", zawiera bowiem utwory będące świadomym przezwyciężaniem złego uroku wojny, jej potwornej hypnozy zatruwającej życie psychiczne pokolenia. Poezji Baranowicza obcy jest bombast patetycznych frazesów i problematyka spraw „ostatecznych", przynosi ona pochwałę zwykłego życia, które nie chce znać zarówno wrzasku surm bojowych, wołających do bohaterskich czynów jak i stanu wiecznego zatrwożenia i niepewności, lęku węszącego wszędzie grozę i niebezpieczeństwo.

Przypuszczam, że większość czytelników — podobnie jak niżej podpisany — nie może już znosić ponurych historii o obozach, SS-manach, partyzantach, „akcjach", „rozpylaczach" i t. p. Te tematy już nie działają, makabra nuży i nudzi. Chcemy literatury, która ułatwiałaby wyjście z kręgu ponurych wspomnień, a nie usiłowała nas dalej w nim więzić.

To też z prawdziwym, szczerym uczuciem ulgi, z głęboką satysfakcją pogrążamy się w lekturze wierszy Baranowicza:

Daj słowom moim dźwięk pianina
Palcom ołówek zamiast broni.
Nie srebro krzyżów w bluzę wpinaj,
ale świetlisty kwiat jabłoni.
Chociaż mną wzgardzą — pokój zapal
dniom — glorii łaknącym
najchmurniej. —
Niech raczej stos — jak Sardanapal —
wybiorę, niż bojowy turniej.
Co mi tam wielkość! Sława co mi!
I defilada chybkich tanków! —
Daj tylko w zmierzchu miesiąc stromy
cichym spojrzeniem witać z ganku.

Już poprzednio pisząc o Baranowiczu zwracałem uwagę na jego piękne stylizacje pieśni ludowych. W „Arkuszu" znajdujemy jeden tylko utwór tego rodzaju — „Pastoralkę" — ale zato kapitalny w swej prostocie i zwartości, zamykający całość cyklu bardzo sugestywnym akordem.

Ujmujący jest również poetycki humor Baranowicza, humor słoneczny i pogodny, przywodzący na myśl humor Prusa:

Krawężnik miedzy, choć nie wolno,
pług zębem tyrpie wygłodzony —
Choć szersze o reformę rolną,
wciąż pole chude ma zagony.

Opalam się na kolor śliwy.
Z miedzy Krasula owies smyka —
Myślę — zabronię, sprawiedliwy,
to na wieczerzę skąpiej mleka.

Aleksander Widera znajduje się jeszcze w okresie poszukiwania własnej drogi poetyckiej, o czym świadczą wyraźnie w jego wierszach wpływy pisarzy o bardzo różnych indywidualnościach twórczych (Szewczyk, Baranowicz, Gałczyński). W każdym bądź razie różnorodność środków wyrazu i tematyki, silna, gorąca pasja ideologiczna dobrze świadczą o możliwościach rozwojowych poety. Ale wszystko to są na razie tylko zapowiedzi: „Arkusz" nie przynosi ani jednego wiersza, który możnaby uważać za pełny sukces poety.

Wydany w dwudziestą piątą rocznicę bojów o Górę św. Anny (trzecie powstanie śląskie) poemat Zbyszka Bednorza „Strofy serdeczne" jest prawdziwym cackiem bibliofilskim. Zasługa to nieocenionego Jana Kuglina, o którego osiągnięciach na polu wydawniczym można by pisać całe tomy. W każdym bądź razie jestem zdania, że aczkolwiek pisany bardzo gorąco, sugestywny w wyrazie, choć twardy i chropawy miejscami poemat Bednorza zasłużył w zupełności na zainteresowanie tak niezwykłego wydawcy jak Jan Kuglin, to jednak dobrze by było, ażeby „Strofy serdeczne" ukazały się także w wydaniu popularnym, przeznaczonym dla szerszej publiczności. Zarówno temat utworu jak i jego literackie wykonanie zapewniają książce popularność, a każda popularna książka o naszej walce w obronie zachodnich granic Polski jest dziś bardzo potrzebna.

Stanisław Stefan Gębala

Jesień

W hurgocących żarnami czarnych sieniach
wyzwala się dzień z nocy chłodnego mroku
i wychodząc z opłoci odziera z cienia
wiejskie drożyny kręte szronowych kroków.

Wije stalowym połyskiem, odgłosem
jaśniejących motyk.

I migają ku zagonom ręce, pięty bose
i znosząc ślad, skąd późne są powroty
w wielkie orzą łuki ślad w szronowej rosie.

I znów drożynami tęsknota
bydląt rogata
ku polom czarnym się wiedzie.
Wtedy już smutek we wsi opustoszałej
bałamuci gromadki dzieci opuszczonych.
Dzikim młyńcem wzbija tumany kurzu
i przegania nad wieś rozkrakane wrony,
a wiodąc się za wieś wśród opłoci
ognie złudom tęskniące rozplata...
Ognie, którym nieznane pełno wrzosowisk.
Lecz kominki saganów pełne warzą
wśród wieczorów zacisznych domowisk,
ku którym się powraca po rosistej łące.

Jan Marszałek

Teatr na wsi

Teatr na wsi ma do spełnienia bardzo wielostronne zadanie i to w stosunku do widza jak i do aktora. Widzowi winien on dać po za „ucztą duchową" jakieś konkretne wiadomości, nowe spojrzenie na rzeczywistość wolne od przyjętych w starych komediach „smaczków" umoralniających, z których chłopi uśmiali by się tylko pod wąsem a jednocześnie przez swoją działalność kulturalną teatr taki winien pośrednio — przez zaabsorbowanie aktywniejszego elementu wsi pracą w zespołach amatorskich — zapobiegać rozwydrzeniu i zdziczeniu obyczajowemu na wsi. Aktorowi ponadto winien dać okazję do wyżycia się artystycznego i wykazania zdolności i możliwości twórczych.

Cóż, kiedy na drodze do realizacji teatru na wsi piętrzą się nielada przeszkody. Brak odpowiednich środków, brak elektryczności, brak kostiumów i dekoracji nie są tutaj jedyne. Może bowiem najważniejszym brakiem będzie tutaj niedostatek odpowiednich sztuk teatralnych, któreby zadość czyniły wymogom teatru wiejskiego a zarazem do minimum usuwały trudności techniczne, jak kostiumy i dekoracje.

A takich sztuk właśnie jest bardzo mało.

Istnieją wprawdzie sztuki amatorskie, ale sztuk prawdziwie ludowych, nadających się do zagrania w zaimprowizowanej „sali teatralnej", którejś z większych izb lekcyjnych miejscowej szkoły, czy w prymitywnych warunkach remizy strażackiej, ilość jest tak znikoma, że prawie żadna. Poza tym widz chłopski ma specjalne wymagania od teatru. Sztuka musi go bawić musi mieć ciętość satyry a jednocześnie komizm popularnych widowisk cyrkowych. Jeżeli sprobujemy w teatrze wiejskim wystawić sztukę całkiem „na poważnie" to możemy być z góry przygotowani na „klapę". Widownia będzie niespokojna, wybuchać będzie śmiechem w najmniej do śmiechu nadających się scenach. Wystarczy w takiej poważnej sztuce jakieś drobne potknięcie się aktora, samo nawet ukazanie się nowej postaci by z widowni ni stąd ni zowąd posypały się mniej lub więcej dowcipne uwagi a za nimi chóralne śmiechy całej publiczności.

Na utrzymanie dostatecznego nastroju nie można już w tych wypadkach liczyć.

To od strony widowni.

A i aktor chłopski do ról poważnych nadaje się mało kiedy. W sztukach poważnych staje się zbyt nienaturalny, „deklamatorski", monotonny i po prostu sztuczny. Może też z tego powodu publiczność teatru wiejskiego odczuwając tę sztuczność reaguje na nią ironią i śmiechem. Za to w rolach komicznych są całkowicie artystami.

Gdyby jednak teatr wiejski wystawiał same zabawne skecze bez głębszego podłoża myślowego niewielka byłaby zeń pociecha z punktu widzenia podnoszenia kulturalnego wsi. Musi to być sztuka któraby w sposób prosty a zarazem dowcipny krytykowała wszystkie mankamenty życia współczesnego, zwłaszcza życia współczesnej wsi polskiej, a zarazem jakby mimochodem objaśniała o przemianach w ogólnej strukturze społeczeństwa i państwa.

Język takiej sztuki musi być prosty a jednocześnie dość obrazowy i literacko poprawny. Prosty — by nie zawierał słów takich, których wymówienie (dla aktora) jak i zrozumienie (widownia) nie nastręczało by specjalnych trudności. Poprawny, by dawał odpowiednie wzorce, a nie hodował na wsi i tak dość licznych błędów stylistycznych czy gramatycznych z żadną gwarą nie mających nic wspólnego.

Akcja musi się rozgrywać w środowisku chłopu mniej więcej znanym, by aktor mógł ją odtworzyć możliwie najrealistyczniej. Z tego względu sceny nie powinny się rozgrywać gdzieś na zamku królewskim czy w gabinetach ministrów. Swoista bowiem interpretacja chłopska może zrobić z tego parodię jedynie. To samo tyczy się rozmaitych „tłumów", „baletów", „wojsk" itp. gdzie ze względu na bardzo ograniczoną ilość miejsca na scenie jak i równie ograniczoną ilość statystów sztuka musi wypaść kulawo.

Kostiumy i dekoracje nie zbyt „wymagające". Autor sztuki teatralnej dla wsi musi wziąć również pod uwagę ograniczone możliwości teatru i w tym zakresie. Zbyt trudne do zrealizowania dekoracje muszą być ze wszech miar niepożądane, gdyż nie wielkie możliwości miejscowych „dekoratorów" zawsze będą stwarzać zbyt rażący prymitywizm, który udzieli się całości przedstawienia i może w znacznym stopniu osłabić efekt. Tyczy się to również ognisk na scenie i innych trudnych do przedstawienia scen nieraz zupełnie nie istotnych dla całości sztuki a utrudniających zbytnio jej wystawienie w teatrze wiejskim.

Wszystkie te życzenia pod adresem autorów sztuk teatralnych mają jedno na celu: dać publiczności chłopskiej przedstawienie zagrane możliwie najrealistyczniej, to znaczy takie, którego braki techniczne nie raziłyby widza. Bo jak powiedziałem, widz ten jest bardzo krytyczny i do każdego niedociągnięcia odniesie się sceptycznie a nawet złośliwie.

Tym wszystkim więc trudnościom można zaradzić jedynie przez dostarczenie zespołom wiejskim sztuk odpowiednich tzn. takich, które uwzględnia zarówno trudności realizacyjne jak i potrzeby i nastawienia chłopa-widza i możliwości chłopa-aktora.

Publiczność chłopska dopisze z pewnością, jest ona bowiem zbyt głodna wrażeń. Ten „głód" należy wykorzystać jak najlepiej i skierować w odpowiednie kulturalne łożysko i nie dopuścić by zwolennicy wrażeń z nudów czy dla zabawy charatali się nożami lub zatruwali samogonem, albo „państwówką".

Chłop pomimo licznych zajęć w polu i zagrodzie ma jeszcze dość czasu wolnego, zwłaszcza w dni niedzielne i świąteczne. Czas ten musi wieś nauczyć się spędzać kulturalnie. Droga do tego winna wieść przez organizacje młodzieżowe, przez rozbudzenie wśród ich zespołów zamiłowań artystycznych. Pomoc w formie dostarczania odpowiednich sztuk będzie tu najbardziej na miejscu.

Teatr bowiem, jego żywe słowo ma bezwątpienia najwięcej szans dotarcia do jak najszerszych mas. Dotrze on nawet do analfabetów czy półanalfabetów. Tych szans nie ma ani pismo ani książka. Zdrowa myśl zawarta w dobrze zagranej sztuce przemówi do każdego, kto ma „uszy do słuchania" zwłaszcza tak chętne do słuchania jak pozbawiony rozrywek kulturalnych chłop polski. Nie trzeba go tylko zbywać byle czem.

Leonard Sobierajski

O nowym człowieku

Leon Kruczkowski — „Człowiek i powszedniość". Warszawa 1946 — Biblioteczka Oświaty Robotniczej.

Dr M. Ossowska — prof. Uniwersytetu Łódzkiego — „Wzór Obywatela w ustroju demokratycznym". Warszawa 1946 rok — Biblioteczka Oświaty Robotniczej.

Dwie te książki należy omawiać razem. Są to broszury, ale o tak skondensowanej treści, że każdy inteligentny czytelnik z kręgu miejskiego czy wiejskiego powinien je sobie przyswoić w całości.

Prof. Chałasiński, który tyle zrobił dla wydobycia, dla „postawienia" myśli ludowej jako zagadnienia naukowego, domaga się, by inteligencja stała się elitą dla chłopów czy robotników ,by dla tych ludzi przepracowała mózgiem to, co należy im podać już jako wynik. Otóż widzimy, że te akcje dla swojego środowiska podejmuje Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego. Najlepsze pióra pisarzy i naukowców trudzą się, by młodzieży robotniczej wypracować nowy pogląd na świat, by pokazać jej w/g jakich wzorów osobowych powinien się człowiek dzisiejszy budować.

Książki M. Ossowskiej i Leona Kruczkowskiego powinny pójść i w młodzież wiejską. Jest to suma cennych wskazań, legitymujących się sprawdzonym uzasadnieniem naukowym. Te dwie broszury akcentują przede wszystkim człowieka — jakim powinien być, żeby żyć pięknie i rozumnie, jakim powinien być, żeby być człowiekiem pełnym, człowiekiem biorącym udział w kulturze jako jej konsument i producent.

Książka Leona Kruczkowskiego omawia to, co składa się na codzienność ludzką. Człowiek zużywający się bez reszty w pracy gospodarczej, nie mogący tym samym odrobiny swojej energii poświęcić na zainteresowania naukowe czy przeżycia estetyczne, to jednostka — wedle autora — skazana na ubóstwo wewnętrzne. Stworzyć takie warunki, w których prócz miejsca na pracę znalazł by się czas na sztukę, na wywczas, na zainteresowanie się nie tylko tym, o co musimy uderzać co dzień własnym nosem — oto nadanie jednostce wówczas dopiero godności ludzkiej, wyprowadzenie jej z biologicznego, wegetacyjnego trybu życia.

Ossowska mówi nam, jakie cechy powinniśmy pielęgnować w sobie by stać się na prawdę ludźmi. Podkreśla jak i Kruczkowski rolę uspołecznienia człowieka, gdyż tylko w ten sposób zwiększa się jego udział w szczęściu.

Człowiek, którego autorka by chciała widzieć w naszym ustroju to człowiek między innymi „o otwartym umyśle, ...umiejący chłonąć rzeczy nowe i poddawać rewizji swoje poglądy, zwłaszcza jeżeli uległy zmianie fakty na podstawie których poglądy te się ukształtowały", to człowiek „o dyscyplinie wewnętrznej... to znaczy posiadający zdolność do długodystansowego wysiłku, ...umie on narzucić i przeprowadzić jakiś plan działania, podporządkowując — także i kosztem pewnych ofiar — rzeczy mniej ważne rzeczom ważniejszym". Książeczka autorki to wskazania, może ona mieć duży sens wychowawczy. Nie rości sobie pretensji do wyczerpującego postawienia zagadnienia. W takiej postaci, w jakiej jest, spełni swoje zadanie — będzie wytyczną dla młodzieży miejskiej, dobrze będzie, gdy trafi, do kręgu młodych czytelników wiejskich.

Władysław Dunarowski

Odpustowe obrazki

Do niedawna największym przeżyciem wsi w ciągu roku oprócz wesela był odpust. Chrzciny — rzecz codzienna, pogrzeb — nic szczególnego. Ale odpust! Masa ludzi nowych, dalekich otrze się o siebie. Coś niecodziennego, choć nieuchwytnego, poruszy wsią. Serca w kramie dla zakochanych, słodkie gwizdawki dla dzieci, dla niektórych dewocyjna tandeta i święte obrazki, a dla wszystkich — orzeźwiający, odpustowy ogórek. Kawalerzy dla wzmocnienia tego orzeźwienia radzą sobie jeszcze inaczej. W sumie — odpust. W sumie coś, na co się czeka cały długi rok; o czym się potem mówi przez długie miesiące. W sumie — czczość jałowa, nie zaspakajająca ani potrzeb duchowych, ani kulturalnych. Tyle, że okazja do różnych spotkań, odwiedzin, poczęstunków, nierzadko bijatyk. A potem długie gadania o niczym, wałkowanie błahych spraw i przewidywanie, kto z kim — i czy będzie co z tego. Czy się dogadali tyle, że można dać na zapowiedzi, czy też wyłoniły się nowe trudności.

Trudno. Wieś musiała się w czymś wyżyć, jeżeli jej nie było dane w czym innym wyładować swych podniet. Jeżeli czytanie gazet było grzechem a pójście na muzykę — grzechem bardzo ciężkim, który nadto pociągał przykre następstwa w postaci wywoływania z ambony i wspólnych modłów w kościele za błądzącą owieczkę. Co za rozkosz potem dla bogobojnych dewotek i złośliwych tercjarek! Ile gadania! Idźże, człecze, na muzykę! Więc nie pozostaje nic innego, jak ukradkiem w nocy zrywać się z legowiska i wśród cieni błąkać się ze swą młodością, pełną niewiadomych porywów, dziwnych tęsknot, niewyraźnych marzeń. Potem niewyspane rano, kiepski żur na śniadanie, codzienny kierat — i w rezultacie już po trzydziestce, zaschnięta mumia człowieka. Tego człowieka, który rwał się do człowieczych myśli, człowieczych uciech i człowieczej doli — lecz w zamian dano mu odpustową obietnicę innego życia — w przyszłości i w zaświatach. On tymczasem całą swą istotą tęsknił do tego pierwszego życia, które miał w rękach i które mu uciekało, a którego nie umiał tak wypełnić, aby nie czuć tej bezgranicznej nudy i pustki poodpustowej.

Czy to już stara historia, dziś nieaktualna? Niezupełnie. Oto parę obrazków z tegorocznej letniej wędrówki. Nazwijmy je odpustowymi i niech one same mówią za siebie.

Wybrałem południowe zakątki kraju. Słowo „zakątki" mówi już wiele. To też obrazki nie będą w jasnych kolorach. Ale trzeba je znać. Trzeba wiedzieć, że są i że ich jeszcze jest dużo. Że cudowna zmiana nie przyjdzie w jednym roku. Zresztą żadna zmiana sama nie przyjdzie. Do tych zakątków trzeba ją wcisnąć przemocą, a tych, którzyby przeszkadzali, usunąć. Bo cóż to znaczy, że w miejskich kioskach pełno gazet „ludowych", jeżeli wioski nie widzą żadnej. Przez zakrystię trafia zaledwie „Rycerz" i jakiś świąteczny tygodnik z Częstochowy. To wszystko.

Ale do obrazków.

Górska wioska w Sądeczyźnie. Letnik powie: jak tu cudownie! Chłop powie: bieda i tyle; trzeba mocno zaganiać, aby jakoś wyżyć. I obaj mają rację. Przeważnie karłowate gospodarstwa nie są w stanie wyprodukować tyle, aby mogły zaspokoić nawet najgłówniejsze potrzeby ludności, której gęstość jest tutaj zbyt wielka. To też stopa życiowa niska. To też w kapliczkach przydrożnych wszędzie Chrystusiki Frasobliwe z ciężko podpartą głową, srodze umęczoną. To też liczne odpusty i modły do Przemienienia Pańskiego. Najbiedniejsi wyjechali na Dolny Śląsk i tam koło Namysłowa zajęli całą wieś. Słuchy od nich idą coraz lepsze. Ale we wsi powstał kłopot o służbę, o najemnika do pracy. Gdy się ktoś trafi, niemożliwie droczy się o cenę. Trzeba zapłacić a dochody nikłe. Bo z czego brać? Powojenny przychówek w bydle jeszcze jest nikły. To samo z nierogacizną. Na szczęście w tym roku dopisały wiśnie. A najważniejsze, że jest na nie zbyt w dużej fabryce przetworów owocowych w Tymbarku. Fabryka reflektuje na każdy owoc i każdego gatunku. Dla okolicznych wsi jest to wielkie dobrodziejstwo. Niektórzy gospodarze zebrali za same wiśnie do trzydziestu tysięcy. Szkoda, że to jest jedyna fabryka w okolicy. Szachownica drobnych działek pól woła o nowe kominy, kominy.

Słońce praży w tym roku z całą szczodrobliwością. Górskie potoki wyschły, rzeczka ledwie widoczna, do Dunajca, wpada śmiesznym języczkiem. Prom na Dunajcu nie przewozi z powodu niskiego stanu wody. Bez obawy można wozem przejechać, co na tej rzece należy do rzadkości.

A na drogach zakurzonych furmanki pątnicze, śpiewające nabożne pieśni. Jadą na Kalwarię. Inni, mniej szczęśliwi, krzątają się koło swego odpustu. Prawie w każdej chałupie wielkie pieczenie i masa krzątaniny, bo... odpust pojutrze. O kupnie masła, jajek, szkoda marzyć. Wiadomo — przecież odpust pojutrze. Postanowiłem nie dać za wygraną i udałem się na koniec wsi. Pod sam czubek góry. Przed domem wypalone i wyskubane pastwisko. Na nim dwie krowy i mało od ziemi odstający pasterz. Jak się okazało, gospodarza jeszcze nie było stać na większego, a i ten nie jego, tylko wyproszony od krewnych na kilka dni. Mały pasterz nie widzi nas, ale, co gorsza — także swych krów: tak jest czymś zajęty. W wyniku daje się słyszeć wielki krzyk z domu, a wnet potem żałosny płacz pod małą siermięgą. Przyczyną wszystkiego stał się święty obrazek, podarowany dziecku przez spacerującego misjonarza, który przyjechał na odpust do miejscowego proboszcza. Przyjechał, bo lubi tutejsze góry, tutejszy niezepsuty boży ludek, tutejsze święte miejsce, które jeśli nie jest, to będzie cudami słynące. Na pewno będzie. Tylko ci, co łask doznali, niech zapiszą wszystko i oddadzą gdzie trzeba. A potem może nawet koronacja świętego obrazu się odbędzie. Co by to za piękna uroczystość była! Jaka radość dla wsi i okolicy! Ile chwały Bożej! — Na razie czcigodny ojciec spaceruje z proboszczem po górach, do odpustowego kazania się sposobi i obrazki rozdaje. A że niektóry dzieciak zabawę sobie z tego urządzi, o krowach zapomni, to nie jest jego wina. On spełnił dzieło szerzenia chwały boskiej. Jest zadowolony z siebie. Pasterz także. Bo jak się nie bawić, jeśli tyle na tym papierku kolorów, tyle ludzi przedziwnych i brodatych...

Zadowolony jestem także ja, bo wreszcie trafiłem na dom, gdzie będę mógł dostać potrzebne prowianty. Kobiecie bardzo pilno na lekarstwa dla dziecka, więc mimo odpustu, sprzeda trochę masła, które właśnie ma w robocie. Jeżeli poczekam.. Oczywiście, godzę się na wszystko. Przy okazji dowiaduję się szczegółów choroby dziecka. Najpierw młoda matka uważa za stosowne zademonstrować cały obiekt chorobowy. Wyjmuje więc z kołyski kościotrupka, żaląc się, że po urodzeniu było takie tłuściutkie, takie urodne, a dziś po trzech tygodniach, co to się z tego zrobiło? Aż przykro patrzeć. Istotnie przykro. To już nie dziecko, ale mały potworek. Podobno angielska choroba tego się chwyciła. Bo posłali do najbliższego miasteczka do doktora, który tak właśnie orzekł. Butelki stoją na oknie, widomy znak dla wszystich, że dziecko leczą ile mogą. Kobieta jest zadowolona, że spełniła swój obowiązek z tym doktorem. Jak się jednak okazuje, lekarstwa zapisanego nie stosuje. Twierdzi, że ktoś inny poradził jeszcze skuteczniejsze. Takie, że dziecko zaraz przestaje płakać. A to ważne. Jak również to, że lekarstwo niekosztowne. Po prostu do mleka wlewa się trochę spirytusu. Bimber też może być. Toć to to samo. Ale nie dużo. Wystarczy naparstek. A z krzykiem jakby uciął.

Od doświadczeńszej życiowo sąsiadki dowiaduję się, że owa młoda matka stosuje jeszcze inne zabiegi lecznicze — i że na pewno wyprawi dziecko na tamten świat. A tej chorobie angielskiej, ona sama winna. Dziecko bowiem urodziło się w najlepszej formie i brało się do życia, lecz matka na drugi dzień po połogu, spiła się bimbrem — no i rezultat jest.

Podobnych wypadków jest więcej. Ale nie może być inaczej, jeśli o poradni dla młodych matek nikt nie słyszał. Natomiast na odpuście słyszeli wszyscy, jak zaperzony kaznodzieja w dramatyczny sposób przeklinał tych wszystkich, którzy są sprawcami mordów dziecięcych przed czasem rozwiązania. Nic jednak nie wspomniał, kto będzie przeklęty za tę ogromna większość dzieci, które giną „po czasie". Czy przypadkiem?...

Ale nie jest przypadkiem, że w gminie cały rok walka, walka na całego, między dwoma obozami. Moc pisaniny, wyjazdów, zabiegów — i o co? O wykończenie budynku gminnego? O szkołę siedmioklasową? Nic podobnego. Jeden obóz walczy o przeniesienie gminy do wsi sąsiedniej, drugi — o pozostawienie go na miejscu. Czy zużyta energia jest w jakimś stosunku do wyników — łatwo osądzić. Mówi się w takim wypadku, że gmina ma pecha. A jak się dowiaduję — nawet tradycyjnego pecha. Zaczęło się przed wojną, a do zenitu doszło w czasie wojny, kiedy to rej wodziło dwóch panów — jeden w roli sekretarza, drugi skarbnika, czy czegoś w tym rodzaju. Jedno było najpewniejsze, że świetnie się urządzili w gminie, świetnie żyli z władzami okupacyjnymi, a najświetniej żerowali na chłopach. Bo chociaż pobory miesięczne nie przekraczały 300 zł, im starczyło na wszystko. Śmiali się z wysiedlonych i biedującej inteligencji, że sobie nie umie radzić, więc tym samym nie zasługuje na poparcie. Tej zasady trzymali się bardzo skrupulatnie. Aby zdobyć papierek na kupno jakiejś szmaty, papierek, który nawet gadzinowe prawo niemieckie przewidywało, trzeba było mocno podsmarować. Inaczej nic z papierka. Ta sama historia się powtarzała, gdy chodziło o uchylenie od kontyngentu krowy na jeden miesiąc. Ostatecznie krowa prędzej, czy później poszła, ale tym panom wiodło się coraz lepiej. Lepiej niż przed wojną. Przy tych metodach mogli sobie pozwolić na luksusową kuchnię, przyjęcia, własne konie, powózki, parobków, słowem — żyć i nie kończyć wojny. Chłopi odgrażali się, że ich cało nie puszczą, lecz puścili. Ci panowie wczas zwąchali się z „lasowymi" i zaczęli część kradzionych rzeczy odstępować tamtym. Zaczęli się ubezpieczać na dwa fronty. A gdy przewrót się zbliżał, kazali lasowym napaść na gminę i spalić księgi. Dziś nie można ich pociągać do obrachunku z tych lat, bo dokumentów brak. Oni też znikli pewnego dnia. Dziś są pionierami na Ziemiach Odzyskanych. I znów przezornie ubezpieczają się ze wszech stron.

Na Zachód przeniosła się prawie piąta część ludności tutejszych wiosek. Komornicy, jednomorgowi, a nawet średniacy powędrowali i dziś są właścicielami ładnych gospodarstw koło Namysłowa. I chociaż początek jest zawsze trudny, chwalą sobie, że nareszcie chleba mają pod dostatkiem; że z każdym dniem czują się tam coraz lepiej. Drżą tylko wtedy, gdy dowiedzą się z gazet, że ktoś z polityków światowych zaczyna mętnie gadać o naszych ziemiach zachodnich. Dla nich tu wszystko jest jasne.

Nic dziwnego, że stale ktoś ze wsi jeszcze ucieka na ten Zachód. Najpierw jadą w odwiedziny, czyli na zwiady, a nawet potem na stałe. Wobec tego we wsi coraz trudniej o robotnika, jeszcze trudniej o służącego. Bo kto dziś pójdzie na służbę? Chyba ułomny. Bo jako tako poskładany chłopak, choćby najbiedniejszy, taki co niedawno jeszcze nie miał żadnych widoków na założenie ogniska domowego, ale skazany był na wieczną poniewierkę po służbach — dziś, w pełnym poczuciu ludzkiej godności, wyszukuje sobie dziewczynę, żeni się, i tegoż dnia wyjeżdża na Śląsk, gdzie jeszcze się znajdzie coś dla niego. Choćby parcela tylko. Budynki może już będą nie tak komfortowe, może podniszczone, może bez sprzętów, lecz da sobie radę. Sąsiedzi, którzy się już tam zadomowili pomogą. Choćby z tej radości, że przybył ktoś nowy, swój; że ich liczebność wzrasta.

Ale bywa też inaczej. Choćby ta kobieta. Ma lat trzydzieści. A może pięćdziesiąt lub więcej. Jest smutna, śmiertelnie znużona, stara. Zaraz po ślubie mąż wyjechał do Argentyny, aby zarobić na postawienie budynków. Oboje byli młodzi i rwali się do życia. Lecz na ojcowskiej trzymorgowej chudziźnie nie było widoków. W Argentynie różnie się składało. Zanim się rozpatrzył, upłynęło parę lat. Potem wojna. Potem — sama nie wie co. Dość, że samiutka w domu. Od roboty i niewygód schorowana, gruntu obrobić nie może. Jechać na Ziemie Odzyskane? Przecież musi czekać na powrót męża. Może wróci w tym roku. Na co on tam jeszcze czeka? Widocznie ma jakiś powód. Widocznie lepiej wie, kiedy przyjechać. Gdy nastąpi stabilizacja pieniądza i stosunków w kraju, to wróci. Oby to już nastąpiło! A może jest w drodze. Śniło się jej, że...

W tym oczekiwaniu spotkało ją jeszcze jedno nieszczęście. Skaleczyła rękę, i jak zwykle na wsi, zlekceważyła ranę, z czego wywiązało się ostre zakażenie. Musieli ją odwieźć do szpitala. I rzecz dziwna: kobieta nie może się nachwalić stosunków szpitalnych: jak tam o nią dbali, jak pielęgnowali, jakie dobre jedzenie, jecy doktorzy troskliwi... Czy istotnie takie stosunki panują w szpitalu nowosądeckim? Jakieś korzystne zmiany musiały zajść w szpitalnictwie. Wiemy przecież wszyscy, że do niedawna panowało na wsi dziwne uprzedzenie do szpitali. Gdy lekarz zawyrokował leczenie w szpitalu, chory pisał testament i prosił, aby go nie ruszali z domu, bo chce umrzeć wśród swoich. Słowo „szpital" równało się wyrokowi śmierci. Dziś i w tej dziedzinie zaszły wielkie zmiany.

Ale jeszcze mało tych zmian. Młodzież dalej narzeka, że nie ma gdzie i jak spędzić niedzieli, oraz wolnych wieczorów. Karty się już znudziły, bimber obrzydł, nuda przeradza się w apatię. Do wsi nie dochodzi ani jedna gazeta, nikt nie widział kina, nie słyszał o teatrze objazdowym. Miejscowe plotki stanowią całą strawę duchową. Świetlicy nie ma kto prowadzić, nie ma radia, nie ma prądu. A Rożnów blisko. Dopiero w ostatnich tygodniach zaczęło się więcej mówić o elektryfikacji okolicy. Więc chłopi się niecierpliwią. Bo wtedy z radia czegoś się człowiek dowie, i wieczorem coś zrobi przy takim świetle, a może ta jasność rozprzestrzeni się na inne dziedziny wiejskiego żywota.

Początki już są. Światło pod strzechą — czy jak to tam nazwać. Po prostu wiejskie gimnazjum (o tym osobno). Nikogo to już nie dziwi. Ludzie już oswoili się z tym i uważają gimnazjum za rzecz zupełnie naturalną. Na razie jest ogólnokształcące, ale w zamiarach dyrekcji jest przekształcić od nowego roku na zawodowe. Wpierw jednak trzeba urobić grunt pod nowe pojęcie szkoły zawodowej. Trzeba tępić uprzedzenia do tego rodzaju pojęć. Na razie ważne jest, że wszyscy chcą się uczyć — młodzi i starzy.

Czyli obok wielu cieni, są też jasne punkty. Chodzi teraz o to, by je rozprzestrzenić. Jednostka nie da rady. Potrzeba inicjatywy i zarządzeń czynników rządowych, samorządowych i społecznych. Trzeba w te cienie, schowane po zakątkach kraju, wniknąć jak najprędzej — wniknąć sercem, rozumem i wolą. Wieś wciąż czeka.

JEDYNIE PRENUMERATA
ZAPEWNIA REGULARNE
OTRZYMYWANIE PISMA

SPROSTOWANIE

W uzupełnieniu recenzji Zdzisława Skwarczyńskiego pt. „Łużyce wołają" zamieszczonej w poprzednim numerze „Wsi" podajemy, że omawiała ona książeczkę Leszka Klimy tp. „Łużyce wołają", wydaną w Toruniu 1946, nakładem Księgarni Nauczycielskiej Z.N.P.

Redakcja

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś" przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII—1080

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Piętak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef, Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—06411